

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

## SPOKOJNY OBRACHUNEK.

### II.

„Żyliście dotąd w ciemności i przesądach: my wam przynosimy światło. Chodziliście dotąd na pasku waszych tradycyj i dziecięcych obaw — my zerwiemy wasze pęta i myśl waszą swobodną podniesiemy na nieznane wyżyny. Zamknięci w błędnem kole przyzwyczajęń, sympatyj i obaw codziennych, nie śmieliście okiem sięgnąć po za kopce graniczne małego światka waszych pojęć: my otworzymy przed wami widnokręgi bezgraniczne, nauczymy wszechświat ogarniać jednym spojrzeniem!”

Z tem hasłem młody obóz wszedł w szranki. Była w niem tylko zarozumiałość i jednostronność, póki w obozie tym byli ludzie rzeczywistego talentu i szczerego zapału, ludzie, którzy sztandar swój podnosili dla idei, nie dla indywidualnych celów. Z chwilą gdy ci wyszli z szeregów, a hasło zostało niezmiennie, w hasło tem był fałsz, zła wiara, powiedzmy to śmiało, oszukaństwo, i to rozmyślnie.

Młody obóz od pierwszej chwili swego istnienia stanął na gruncie, jak powiadał, naukowym i pozytywnym. Ojcowie nie rachowali się z rzeczywistością, nie znali nieraz najistotniejszych praw życia — i w skutek tego w rachunku ich zaszyły fatalne błędy. — Synowie powinni byli tylko na pewnikach namacalnych budować swoją pracę, do tego tylko dążyć i w to wierzyć, co stwierdzone być mogło matematycznym dowodem.

Myśl była dobrą, ale wykonanie jej — błędne.

Nowi pracownicy jednym zamachem przekreślili to wszystko, co było przed nimi. To wszystko było zabobonem, głupotą, wstecznictwem. Od nich dopiero miała zaczynać się nowa era, od nich pierwsze początki pracy pozytywnej *pro publico hono.* — Monopol prawdy tkwił w ich rękach i głowach.

Zaczęto przekształcać, odnawiać, budować na nowo cały gmach pojęć i zasad. Pisano rozprawy naukowe, tłumaczono główniejsze dzieła uczone, pozytywną tendencją nacechowane, wydawano popularne książeczki, mające służyć za propagandę.

Zeszyt pozytywnego organu rozpoczynał się wstępny artykułem, wykazującym zazwyczaj idyotyzm i temu podobne przyniooty przeciwników. Dalej zaś szedł cały szereg artykułów naukowych, opatrzonych szumnymi tytułami a upstrzonych mozaiką nazwisk uczonych, terminów naukowych i frazesów napuszonych. W jednym artykule były nauki

przyrodzone, w drugim ekonomia polityczna, w trzecim filologia, w czwartym filozofia, a wszystkie uosabiały ostatni wyraz mądrości współczesnej i jedyną nieomylną prawdę naukową, wszystkie uderzały w mur zapleśniały starych zabobonów i całą swą treścią wołały do naiwnego czytelnika: Patrz i podziwiaj, jak mądrym, jak wielkim był ten, kto to pisał!

Pocziwy czytelnik, nawet jeżeli był wykształcony, był nim oczywiście w jednej tylko gałęzi wiedzy. — Co prawda, w pierwszym artykule dotyczącym jego specjalności spotkał się z głupstwem, ignorancją i błędami — ale, omyłki chodzą po ludziach. Trudnoż żeby wśród mnóstwa ziarn nie wcisnęła się odrobina plew. Ale zato ziarna te, jakże były obfite i wspaniałe! Jak imponowały imiona, o których nie słyszał nigdy, określenia techniczne, których nie rozumiał! Co to za mądrzy ludzie musieli być w tej redakcyi!

Mądrzy ludzie tymczasem urządzali się w ten sposób.

Było ich sporo i po większej części młodych. W głowach ich mienił się chaos imion i określeń, zapamiętanych na ławach szkolnych. Do tego naukowego balastu dodali tuzin obcych książek, odznaczających się krańcowością poglądu. Oprócz tego, złożywszy się, zaabonowali jedno lub dwa niemieckie pisma, słynne z wyczerpujących i wszechstronnych sprawozdań z ruchu naukowego i literackiego. Zbrojny arsenał takich wiadomości, tytułami dzieł wysyłanych świeżo tam i owdzie, współpracownik pozytywnego pisma, a niedawny student, przypuszcmy matematyki, zasiadał do artykułu o nowych prądach w historii filozofii lub o znaczeniu sanskrytu dla gramatyki porównawczej. Redaktor wymagał artykułu na cztery szpalty, artykuł został napisany i w trzy dni po tem publiczność czytając mówiła:

Co to za porównanie z tą „starą“ prasą! Tam panie, ledwie raz, zrzadka jakiś artykuł specjalny, naukowy, znajdzie się, i to zawsze ten sam go pisze; jak o historii, to X., jak o naukach ścisłych, to Y., jak o literaturze, to Z. — Tu o tych samych kwestyach pisze tylu ludzi, a z nich znów ci sami równocześnie w tylu rozmaitych kierunkach tak dokładnie i gruntownie sąd wydają. Co za uniwersalne głowy! Co za ludzie!

Oczywiście. Biedny pan X. przez dwadzieścia lub trzydzieści lat śleczął nad swoim specjalnym przedmiotem, pan Y. w naukach ścisłych był powagą pierwszorzędną, ale też do nich musiał ograniczać wyłącznie swe studia; pan Z. wydał tuzin prac specjalnych — trudno im więc było wyrokować o rzeczach na których gruntownie się nie znali. Byli to ludzie „obałamuceni starymi formułkami i przesądami.“ Ale młodzi! Tych nie wstrzymywały tak lichy przeszkody. Widnokregu ich nic nie zasłaniało. Dobrze to było dla starych śleczek mozolnie nad sprawdzeniami wątpliwego faktu. dro-

biażgowo poprawiać i przerabiać swoje prace, — siły młode do tego się nie zniżały.

Czasem, prawda, jakiś złośliwy przeciwnik zadał sobie trud odczytania i skontrolowania pracy młodego geniusza i co gorzej, spostrzeżeniami dzielił się z publicznością. Pokazywało się wtedy, że geniusz brał na przykład nazwę stolicy europejskiej za imię starożytnego bohatera, kazał Galileuszowi żyć współcześnie z Julianem Odstępcą i Aleksandra Wielkiego z Aleksandrem VI, cesarza Fryderyka II z ukoronowanym autorem Anti-Machiawela, Alberta W. z małżonkiem królowej Wiktorii i poetę czarnolaskiego z współczesnym malarzem krajobrazów. Łączył w nader podejrzany sposób. Ale cóż to szkodziło! Wiadomo przecie było że krytykę mogła natchnąć tylko ślepa zawiść. Geniusz otrząsnął się, nazwał idyotą śmiałka, który go zaczepił, i na złość jemu a pociechę licznych swych wielbicieli, wystąpił z nowem arcydziełem.

Islusznie. O krytyce zapomniano. „Spotwarzony“ autor pozostał i stawał się coraz cięższym filarem swego obozu.

Gdybyśmy chcieli i mogli zebrać w jedno, olbrzymi zapas utworów, jakie z tego koła wyszły od lat kilkunastu: komplety pism peryodycznych, setki dodatków, wydawnictw, tłumaczeń, mielibyśmy bibliotekę sporą, traktującą de omnibus rebus et quibusdam aliis. Otóż z tej powodzi dzieł nie wiemy czy dałoby się wybrać kilkaset stronnic sumiennej, poważnej, bezstronnej treści naukowej. Była to nauka, traktowana z tytułów dzieł i szablonowej miarki sądu, stosowanej do dzieł tych; nauka, nie dająca zdrowego i świeżego pokarmu, nie wskazująca ideałów rzeczywistych i praktycznych, ale — kupcząca swym towarem, jak ongi przekupnie w świątyni — migająca błędnymi ognikami, które miały udawać nieistniejące gwiazdy przewodnie. Nieuctwo, ubrane w szaty zarozumiałej pedanterii, stromniczość obrzucająca kamieniami i blotem to wszystko, co z poglądami i sympatjami koterii nie jednoczyło się; zła wiara, chępiąca się przymiotami, zasługami i wiedzą, których brakło całkiem — to były cechy charakterystyczne tych ludzi, to są cechy ich dzisiaj.

A jednak znaleźli się tacy, którzy im uwierzyli.

Jak to się stać mogło? Jak na te plewy dało się złapać tyle wróbli? Jak na niepewnym gruncie podobnych stosunków wyrosły owe wielkości fałszywe, przed którymi obecnie nawet, niejeden z przeciwników ustępuje w dobrej wierze, a nikt nie ośmiela się otwarcie przeciw nim wystąpić?

O tem w artykule następnym.

## PUŁKOWNIK.

OBRAZEK WIEJSKI

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Pułkownik bacznie na gościa spojrział. — Nieprzyjacieli przed którym chciał uciekać, przychodził do niego do domu, zapewne z zamiarem rozwinięcia prawidłowego ataku.

Przygryzł stary wąsa nieznacznie, co zazwyczaj u niego oznaką niezadowolenia było, lecz, jako gospodarz gościny, nie dał poznać po sobie, że mu owa niespodziana wizyta przyjemności nie sprawia.

Przeciwnie, witał gości mile, z pewnym odcieniem serdeczności nawet. — Otworzył szeroko drzwi i do pokoju poprosił.

Panowie weszli do skromnego lecz czystutkiego saloniku, którego ozdobą jedyną było kilka obrazów, duży bukiet na stole i starannie ręką Klarci pielęgnowane, kwiatki.

## O JEDNEJ Z PRZYCZYN ZADŁUŻENIA ROLNIKÓW,

przez

H. Wiercińskiego.

(Dokończenie).

Prawo cywilne obowiązujące, zrodzone w czasie panowania niwelacyjnych dążeń, postanowiło, że wszystkie dzieci do równych praw majątkowych po zmarłych rodzicach przychodzi. W duchu tego prawa rzecz rozwijając, należałoby wszystkie dzieci w równej mierze rozdzielić tem, co po ojcu pozostało, a więc tak ziemią spadkową, jak ciężarami. Tymczasem, jak już wiemy, hipoteka jest niepodzielną, więc ani ziemią, ani ciężarami jej, dzielić się nie pozwala. Niepodzielnosc ta nie zmieniając praw spadkowych, siłą okoliczności, zmusza jednego ze spadkobierców do obejmowania całości i obciążania się długami na spłatę reszty spadkobierców. — Pozostaje więc odrazu pod brzemieniem długów. Chcąc ich uniknąć, musi wyrzec się wraz z resztą rodu siedziby ojców, Co pokolenie, musi w ten sposób ziemia nasza przechodzić przez przetarg, wymagający znacznej ilości gotowizny; — co pokolenie nowym długiem obciążyć się musi.

To też, jeżeli uznajemy zasadę równego podziału majątku pomiędzy dzieci spadkodawcy, powinniśmy oświadczyć się za ułatwieniem im tego podziału.

Majątek ruchomy, kapitały, bardzo łatwo dają się dzielić, zgodnie z wymaganiami prawa; należy to ułatwienie rozszerzyć i na spadki ziemskie. Nie jest to z dobrem gospodarstwa społecznego zgodnem, iżby spadkobiercy wyrzekali się majątku: procederu ojców. Nie przyczynia się to również do pomysłowości powszechnej, gdy jedna część ludności zadłużoną musi być nad siłę, a druga t. z. handlująca, zyski ciągnąc z ich trudów i pracy będzie. Nie jest to nakoniec z korzyścią dla gospodarstwa krajowego, gdy każde pokolenie nowych siedzib szukać sobie musi.

Aby tych wszystkich niekorzyści uniknąć, pozostaje środek — rozdziału ziemi w naturze.

Niepodzielnosc hipoteczna, która uważana jest za doskonałość, przestaje być taką w obec niekorzyści, o jakich mowa, w obec szkód, jakie gospodarstwu społecznemu przynosi. Również nie może się ostać warunek, wzbraniający włościanom podziałów ziemi na części mniejsze od sześciu morgów.

Przy nim zawsze stan rolniczy zadłużonym być musi. Zadłużenie to powoduje najprzód potrzeba spłaty sukcesorów. Następnie, przy niepodzielnosci pozostają trwale pewne typy co do wielkości przestrzeni ziemskich; spłacony sukcesor dostawszy częśćkę schedy a nie mogąc znaleźć majątku odpowiedniego jego środkiem rzeczywistym, volens no-

Zaledwie goście weszli, pułkownik dwukrotnie w dłonie klasnął, a na to hasło ukazał się natychmiast młody chłopiec, ubrany nie w liberyę wprawdzie, ale czystutko — i wyprostowany jak struna, przy drzwiach stanął.

Pułkownik szepnął mu słów kilka, — chłopiec zrobił zwrot na lewo, z precyzją, którejby mu niejeden stary sierżant mógł pozazdrościć, i za chwilę powrócił, niosąc na tacy kieliszki i butelkę, dobrze już pleśnią porosłą.

Zręcznie wydobyl korek i wyszedł.

— Bój się Boga, pułkowniku, rzekł pan Stanisław, na takie gorąco węgrzyn?

— A czemuż mam wypić zdrowie tak szanownych gości? Nie obawiajcie się panowie, jest on już zbyt stary, żeby mógł komu zaszkodzić; przechowało się trochę, jakimś cudem, z zapasów mojej rodziny, z owych lepszych czasów, kiedy to ludzie jeszcze wino pijali, a w żyłach mieli krew.

— Przypuszcza pan szanowny że dziś jest inaczej?

— Co do owej krwi, panie?

— Właśnie.

Pułkownik zamyslił się trochę — a po chwili rzekł:

— Zapewne... krew to jest w ludziach, ale jaka! tyle chyba tylko że czerwona... ale czy drgają w niej takie iskry jak niegdyś, czy zakipi ona oburzeniem, na widok złego... czy zawrze do szlachetnego czynu? Zresztą, — nie przeszą-

lens, brać musi gospodarstwo jakie nabyć może, — zazwyczaj większe, niżby kapitał, jakim rozporządza, nabyć mu pozwolił, — i znowu popada w długi. Przy niepodzielności ziemi, brak tych drobnych cząstek, które dostępne byłyby każdemu, czy większą czy mniejszą fortunę posiada; — a choć typ gospodarstw zachowuje się dłużej, nie przypuszczamy, aby statystom tak dalece o zachowanie onego chodziło, iżby dlań poświęcać chcieli rzeczywistość.

Ekonomiści zgadzają się na to w ogóle, że obdłużenie wielkie majątków ziemskich dopuszczaniem być może wtedy, gdy kapitały są w kraju obfite, a stopa procentu niska.

Rozpowszechniona w kraju lichwa rozstrzyga kwestyę co do taniości kapitałów i stopy procentów. Więc o pożytkach gospodarowania u nas na dziedzictwie, obciążonem schedami współsukcesorów, marzyć zapewne nie będziemy. Niepodzielność dóbr i osad włościańskich, doprowadziwszy jedne i drugie do pewnego stałego typu, który zmianie ani zmniejszeniu nie ulega, nie pozwala za otrzymaną schedę nabyć cokolwiek bez zaciągania długu; — a ten dług znów wysoko oprocentowany, wiedzie do ruiny. Wiecznie zatem pozostajemy w tem samym zakłętym kole, które tak czy owak, do upadku rolnika doprowadzają.

Według naszego widzenia rzeczy, dwie tylko drogi prowadzą do polepszenia tego stanu: Albo, zachowując niepodzielność ziemi, wprowadzić do prawa majoraty, — a tym sposobem uwolnić posiadaczy ziemskich od obowiązkowego zadłużania ziemi na spłatę współsukcesorów; — albo pozostawić zupełną swobodę w dzieleniu ziemi. W pierwszym wypadku osiągnie się trwałość tych stanów rolniczych, jakie dziś istnieją; w drugim wytworzy się różnobarwna mozaika rolników, od kilkunastopretowego posiadacza do wielkiego pana, stopniująca się i urozmaicająca wedle wymagań czasu i potrzeb ludności.

Czy w obec obowiązującego prawa spadkowego można kusić się dzisiaj o zaprowadzenie majoratów? czy przewrót tak zasadniczy w prawach majątkowych obywateli, nie byłby zbyt gwałtownym, zbyt wiele protestów wywołującym, przesądzać nie chcemy. Dodamy nadto, że przewrót ów zachowując stan, nie zabezpieczyłby jeszcze losu wydziedziczonego młodszego rodzeństwa i wyrodziłby szybko nieprzeliczone zastępy proletaryatu. — Dla tego oświadczylibyśmy się raczej za swobodnym podziałem ziemi.

Swobodny podział nie wymaga przewrotów radykalnych, szanuje prawa spadkowe, — najmniej przeto naraża na przesilenie, jakie społeczeństwo przy każdej reformie szerszego zakroju przechodzić musi. Podział taki pozwala ogólni dostrajać interesa swoje do potrzeb swoich, — a to najbardziej sprzyja zarówno społecznemu jak i ekonomicznemu rozwojowi jego.

Jak jeden tak drugi system tę wszakże będą miały wyższość nad dzisiejszym, że nie zmuszając właścicieli ziemskich do zadłużania, pozwolą na swobodny rozwój rolnictwa.

dzam, stary jestem... może już oczy moje osłabły i nie mogą widzieć tak dobrze, jak niegdyś... może mój umysł już się przytępił — ale różnicę widzę, widzę, moi panowie.

— Czas inny, chłodniejszy, — wtrącił pan Stanisław.

— Ha! może to chłód, trzeźwość, spokój, czy jak tam panowie nazywacie, a może też zniechęcenie, apatya, zasklepienie się w swoich własnych interesach, lub tylko przyjemnościach... co gorzej.

Pan Stanisław znacząco na brata spojrział i rzekł do pułkownika.

— Poniekąd zdaniu temu trudno odmówić słuszności, lecz z drugiej strony, niechże mi pan pułkownik wskaże, gdzie dziś młody człowiek ma pole działalności, wszystkie drogi zagrodzone, zamknięte, przeludnienie wszędzie.

— Nie, szanowny sąsiedzie, — zaprotestował, ożywiając się, pułkownik — na ten pogląd pisać się nie mogę nigdy. Pola do pracy, mojem zdaniem, ten tylko nie znajdzie, kto pracować nie chce, albo też nie umie.

— Ależ, panie pułkowniku, wszak wiesz pan, że na polu działalności publicznej karyera dla młodych ludzi zamknięta.

— Otóż w tem, panie dobrodzieju, sę. że karyeryby się chciało... każdyby wodzem być pragnął — a do szeregów nie ma nikogo. — Co pan dobrodzieju mówi, karyera! karyera!

## REALIZM FRANCUZKI I JEGO WYZNAWCY.

(Dalszy ciąg).

Uznawaliście potęgę ciała, a żądaliście od niego rozkoszy duchowych, kochaliście ustami, ręką, zmysłami, a chcieliście ażeby nazywano waszą namiętność aniołów uczuciem; krew grała, pożądała w żyłach waszych, a usta kłamały, deklamując o nadziemskich zachwytach. Obejmowaliście ludzi, a opisywaliście niepochwytne istoty; okłamywaliście, ludziliście siebie i czytelników, a skarżycie się, że wam nietylko publiczność wypowiedziała posłuszeństwo, lecz że nawet sami w siebie wierzyć przestaliście.

Wyrażcie, określście namiętność tak, jak ją odczuwacie; opiszcie człowieka tak, jak go widzicie. Nie strójcie się w błyszczące piórka przesadnej dykeji romantyzmu; nie wymyślajcie sytuacji, których nigdy nie było, — bo dość kopiować prawdę, to, co jest, aby mieć groźne, tragiczne zawikłania. Słowem, bądźcie sobą, nietylko w pojęciach, lecz i wyrażaniu swych przekonań, bądźcie realistami nietylko idei, lecz i formy.

Takie mniej więcej hasło odzywa się wśród wrzawy upadającego z łoskotem romantyzmu, a pochodzi ono od człowieka, którego dotąd niewiele znano.

Nie reforma sama, lecz początek tej reformy jest zasługą Honorjusza de Balzac. On zastosował pierwszy teorye, zawarte w „okólniku“ Hugo'a, on opisał pierwszy człowieka, jak go widział: z brodawkami, z bliznami, włosami, nałogami, i t. d. — Romantycy lepili sobie ludzi, stósownie do chwilowej potrzeby, nie troszcząc się o podobieństwo rysunku z naturą. Balzac kopiował pierwszy żyjącego człowieka, opisywał ciało i dopasowywał duszę do niego, lub też odwrotnie; połączył on duchowego i cielesnego człowieka i kopiował rzeczywistość, prawdę, to, co jest, nie zaś to, co by mogło być, stawiając w miejscu przypadkowości, lub samowolności swych poprzedników, prawo nieuniknionej wynikliwości danych w charakterze.

Idąc dalej w tym kierunku, przepisywał dyalogi, które słyszał, opisywał sprzęty, domy, miasta, jak je widział, choć mu się to nie zawsze udawało.

Balzac stworzył nowy sposób pracy artystycznej, *metode pozytywną*, powiedzmy, *naturalistyczną*, dopełniając w ten sposób reformę myślową Rousseau'a, wykazując praktycznie nicosć metody metafizycznej. Nowosć ta jest wyłączną jego własnością i dla tego należy mu się słusnie tytuł: naczelnika szkoły. Imię jego stało się legionem.

Jak lawina, oderwana niespodzianie od szczytów gór, wali się teraz materializm na wszystkie stosunki społeczne Francji. I restauracya nie miała ideałów przyszłościowych, lecz ogrzewała jednak wyziębłą pierś niedawną pamięcią

Co nam dyabli po karyerach, gdy ziemia jest, warsztaty są... Póki zagony rolników potrzebują, kowadła rąk, a książki głów. póty karyera dla młodych ludzi otwarta, bardzo szeroko otwarta.

— Zapewne — wtrącił pan Stanisław — ale, bądź co bądź, są położenia w których...

— Wybacz pan dobrodzieju, że przerywam — mówił, zapalając się, pułkownik — ja już jestem stary i dziwak, i zapewne mam swoje uprzedzenia, z którymi nic mnie już chyba nie rozłączy. — Otóż, wracając do kwestyi, o której mówiliśmy przed chwilą, mam takie uprzedzenie, że nie mogę trzymać dobrze o młodzieńcu, który nie potrafi wylegitymować się dostatecznie, czem jest dla społeczeństwa i co potrafi robić.

Pan Stanisław znów znacząco na brata spojrział. Pułkownik zaś kieliszki napełnił.

— Ale co tam o tem! — rzekł — to co ja mówię, przyjsć musi samo z siebie, choćby słabsi i leniwi wylamywali się od pracy i obowiązków, tłum ich porwie, za ogólnym prądem pójść muszą. — Tak bo zwykle bywa, że gdy gromada idzie, każdy wraz z nią naprzód posuwać się musi, kto iść nie chce i upadnie, zdepczą go, i kiedy wszyscy dojdą już do celu, on leżeć będzie na drodze stratowany, bezwładny, — lecz mówmy o czem innem... Jakże tam sąsiadowi żniwa idą w Starzynie?

zapałów przedrewolucyjnych. Słaby ten odblask zgasł w r. 1830—nowych światła nie widać — król mieszczański siedzi sobie spokojnie w Tuileryach, lub przechadza się z flegmą po ulicach stolicy. Na czele drabiny społecznej staje burżuazya, siedząca na worku złota, nie troszcząca się o głód swego robotnika. — Zbierać, liczyć pieniądze i używać ich, jedyne to jej zajęcie. Jej na co ofiara publiczna i waleczność bitew? Od czasu do czasu rzuci ona w zgłodniałą paszczę nędzy kilkaset franków, a gazety obwołają ją wielkim ludzkości dobrodziejem. Jej na co mrzonki o świecie idealnym, może nawet pogrobowym. — Po za grobem niema pięknych kobiet, truflí, ostryg, dobrych win, wesolych zabaw. — Trzeba więc na ziemi używać, dopóki się da.

Miłość romantyków? Karykatura! Dla czego udawać jakies wzdychania? Nie wygodniejże to odrazu kupić sobie namiętność, tem więcej, że można dostać za pieniądze każdą, choćby najpiękniejszą kobietę.

Honor osobisty? Od czego policya? Za to ją płacimy, aby czuwała nad bezpieczeństwem spokojnego obywatela.

Równość? Farsa! Ja mam pieniądze, a mój robotnik ich niema; ja sypiam na atlasach, a biały mój murzyn na łachmanach. I gdzie ta równość? Jestże na drzewie liść jeden, podobny do drugiego? Równość powinna iść w górę. Nie ma szlachty, my jesteśmy lepsi od niej, od rozbójników średniowiecznych, lecz ty, kanalio, tam w dole, nie wacz, bo rzeczą twoją słuchać i pracować.

Idealy? Gardzimy wszelakimi przesadami, my postępocy; nie ludzimy się niczem, my światli i rozumni; używamy i przeżuujemy.

Możesz się ludzkość lepiej zabawiać, jak spełniając zadanie, które jej przyroda naznaczyła?

Powieść jest swego czasu zwierciadłem. Nic dziwnego że i ona pędzi na oslep tam, dokąd wszyscy spieszą. — Lecz przez lat piętnaście jest Balzac prawie jedynym autorem realistycznym. Ogon bowiem realizmu idealnego sypie jeszcze iskrami, blednąc coraz więcej, jak ginącej komety odblask. Wprawdzie pomaga Balzac'owi jego uczeń, Charles de Bernard, bez porównania lepszy stylista i szlachetniejszy w poglądach, twórca typu jeszcze starszej kochanki bo czterdziestoletniej (la femme de quarante ans), wprawdzie przyczyniają się i pozorni mamony wrogowie, brutalne talenty: Sue i Soulié, do umocnienia popularności złotego cielca; lecz bezpośredni epigoni Balzac'a rozdeptują tylko wytkniętą przez niego ścieżkę, nie starając się o jej upiększenie, o wydoskonalenie metody realistycznej.

Panowanie towarzyskie burżuazji sprzykrzyło się ludziom. — Socjaliści, panowania kapitału, ucisku klas robotczych naturalny wynik, nawołują jawnie do buntu, podburzają ubogich na bogatych. Legitymista Chateaubriand, bonapartysta Béranger, komunista Louis Blanc podają sobie dłonie, aby zawołać wspólnie: *écraser l'infame*, precz z burżuazją, wolimy rzeczpospolitą. Czyni to samo Hugo, a nawet marzyciel Lamartine w zapalistej opowieści: *Les Girons-*

*dins*, która przyspieszyła wybuch. Więc znów huk armat, wrzawa, okrzyki ludu, krew na ulicach Paryża — rewolucya lutowa 1848 r. Potem — rzeczpospolita: mowy, deklamacye, marzenia o szczęściu ludzkości i t. d. W końcu zamach stanu—rok 1851, Grudzień, Napoleon III zasiada sobie na tronie. Po zamachu nastają aresztowania, robienia porządku, nieco później wojna krymska, więc sztuka, trwożna dziecina swobody i światła, cofa się w kącik, czekając skromnie na uboczu, aż się to stukanie, bieganie i strzelanie skończy. — Łomot ustaje w roku 1856 po zawarciu pokoju z Rosyją, a Napoleon podnosi teraz nad Francją różczkę czarodziej-ską, z której sypie się złoto, złoto, bez końca złoto. — I ten Bonaparte mógł jeszcze rewolucyę, której nowe echo cesarzem go obwołało, skierować we wspaniałe łożysko spokojnego rozwoju. — Pomogłaby mu tradycya wielkiego stryja i własne wawrzyny, zdobyte pod Sewastopolem. Nie uczynił tego i on. Sam będąc synem poczynającej się zgnilizny, lekając się o koronę, podstępem, zdradą zdobytą, woli płynąć z prądem, nie drażniąc niezadowolonych, zamiast w inną, szlachetniejszą zwrócić go stronę.

Zbyt silne było ramię stryja, zbyt słabe, zniewieściale synowca. Pierwszy przytrzymał zanadto wodze cesarstwa, drugi puścił je luzem. Chorując na człowieka nowożytnie wykształconego, popiera Napoleon III głównie handel i przemysł. Zachęca do zbytku, do zabawki kupieckiej, do spekulacyi. Pereire, Hausman, Morny, grynderzy, giełdciarze stają się bohaterami dnia. Ten wielki, kto umie, nie pracując, miliony zarobić, aby je z wdziękiem, z uśmiechem konającego gladyatora rozrzucić.

Złoto leży na ulicach Paryża; schyl się tylko a chwytaj i używaj. — Schylają się, chwytają i używają teraz już wszyscy, a nie sama tylko burżuazya. Każdy francuz jest lampartem, *viveur'em*, każdy chce widzieć naga aktorkę na scenie; każdy kłęka przed złotym cielcem i modli się: święty, jedyny, najświętszy!

Na takim gruncie wyrasta nowy powieściopisarz, który posunął metodę naturalistyczną o cały krok naprzód. Jest nim Gustaw Flaubert. Sławę swoją zawdzięcza on w części zabawnemu zdarzeniu. — Wkrótce po skończeniu wyprawy krymskiej, skonfiskowała prokuratoryja paryzka powieść nieznanego dotąd pisarza, wytaczając autorowi proces o propagandę zasad niemoralnych. Proces trwał dość długo, a skończył się wygraną autora. Powieścią tą była *Madame Bovary*. Oczywiście, że proces skandaliczny, będący *une cause célèbre*, przyspieszył rozgłos utworu. Lecz pominiawszy ten wypadek, nie mogła książka ta przeminąć, bo zawiera wszystkie warunki powodzenia. Treść stara wprawdzie, wyzyskana już niejednokrotnie — młoda kobieta, która upada, przebudziwszy się z letargu dziewiczego. Lecz robot! Odpowiadamy jednym słowem: mistrzowska!

Metoda ta sama, co u Balzac'a: prawda życiowa, wier-ny rysunek z natury, logika czynów i wypadków—są i w *Madame Bovary* drogowskazem dla twórczości artysty. Lecz

— Powiada mi rzadca, że dobrze, co do mnie, mało wychodzę, przyznam się ze wstydem, że rzadko kiedy w polu bywam, chory, rozstrojony jestem, zdenerwowany...

— Modna to dziś podobno choroba, zauważył pułkownik, za naszych czasów takich cierpień nie znano...

— Ba, podobno też i czasy tamte były lepsze — co do mnie miło mi jest zawsze widzieć ludzi, którzy je pamiętają, zazdroszczę im nawet.

— Czy starości i siwizny może?

— A cóż pułkownik myśli? czy nie jest godną zazdrości starość, przy której jednak człowiek zachowuje pamięć, energię i siłę.

— No... tak, ale zawsze już owe liczne krzyżyki nie-małem na barkach ciężą brzemieniem.

— Cóż brzemień znaczy, gdy się ma do dźwigania dość mocy i...

Nie dokończył pan Stanisław, gdyż do pokoju wbiegła Klarcia. Wracala z ogrodu i wszedłszy tylnymi drzwiami do dworku, nie wiedziała że są goście, a jednym z nich ów nieznajomy — znajomy.

Chciała się cofnąć, lecz przypomniała sobie, że jako już awansowanej na pannę dorosłą, nie wypada uciekać. — Skloniła się, zaploniona, jak wisnie, których pełen koszyk w ręku trzymała.

— Niechże nas pan pułkownik przedstawi — rzekł pan Stanisław.

Stary wymienił nazwiska.

— A ta młoda osoba, — dodał — jest moją jedyną wnuczką i zarazem jedyną pociechą. Ze wszystkiego, com przez długie lata utracił, ona mi już tylko jedna została. Dla niej też żyję... Lecz, dajno nam panienko — dodał weselej — ten koszyczek, zapewne dla gości napełniłaś go owocami?

— Ja nie wiedziałam, dziaduniu, że panowie są na nas laskawi — byłam w ogrodzie, nawet przez jakiś czas znajdowałam się w polu — i nie słyszałam żeby kto przyjechał.

— To pójdźże jeszcze, moje dziecko, powiedz ciotce że mamy tak szanownych gości — i pokażcie się tu panie obydwie.

Klarcia wybiegła z pokoju.

Jakkolwiek pułkownikowi wizyta panów ze Starzyna nie przypadala do gustu, jednak poznać im tego po sobie nie dał, przeciwnie, pełen tej grzeczności i galanteryi, którą się odznaczało pokolenie dawniejsze, przyjmował ich z taką uprzejmością i gościnnością, że nawet blada i znudzona twarz pana Stanisława ożywiła się, a przymglone jego oczy nabrały blasku.

Starzynscy goście ani się nawet spostrzegli że już mrok zapada, a gdy pan Stanisław coś o odjeździe wspom-

Balzac sąsiadował jeszcze zanadto blisko z romantyzmem, którego krańcowych wyznawców do grona swych przyjaciół zaliczał; ocierał się zbyt często o dziwactwa idealnego realizmu, aby mógł być skończonym naturalistą. Sam nawet, mimo pełnej świadomości tego, co zamierzał, nie wykonywał właściwie swego programu, bo jego postacie nie są rzeczywistymi kopiami żywych ludzi. Potężna wynikliwość jego badawczego umysłu umiała pojedyncze rysy charakterów, oparłszy je na studyach spostrzegawczych, tak szczelnie sprządz z sobą, iż składały prawdopodobną całość. W gruncie zaś nie był Paryż Balzac'a, odwzorowany w „Komedii ludzkiej“, Paryżem na jawie. Balzac bowiem, pisząc bardzo wiele, a pisząc niezmiernie trudno, potrzebował całego czasu do pracy literackiej, nie mając go wcale do studyów z natury.

Inaczej u Flaubert'a. Jego pani Bowary jest osobą żyjącą, której każdy nerw, każdy muszkuł widzimy w odbiciu. Autor opisał z dokładnością anatoma każde zagięcie jej ciała, i ze skrupulatnością fizyologa każde drgnięcie jej zmysłowych organów. Krajobrazy opisuje Flaubert wiernie, jak fotografia; nic w nich nie brakuje. Ale Flaubert nie chodził też z drukarni do domu i napowrót, jak to czynił Balzac, lecz, gdy chciał opisać podróż na rzece lub na morzu parostatkiem, odbywał ją wpieryw sam. Cokolwiek malował, musiał własnoręcznie ujrzyć i własną dotknąć ręką. Sumiennosć ta sprawiła, że mimo dość długiego życia, wydał tylko kilka tomów.

T. Ch.

(Dokończenie nastąpi)

## Galicyjski Bank Włościański.

Lwów, d. 18 Lutego 1884 r.

Likwidacya banku włościańskiego stanowi wypadek, którym obecnie zajmują się najgoręcej wszystkie koła, kierujące sprawami naszego kraju. Czyniąc przeto zadość wezwaniu Waszemu, pospieszam z wyłuszczeniem genezy i dziejów tego jedyne go w swoim rodzaju przedsięwzięcia finansowego, którego ustrój stanowić może rzeczywiście ciekawy i pouczający przedmiot studyów, dla każdego, kogo wewnętrzne stosunki tutejszego społeczeństwa interesują.

„Szukajcie kobiety!“ powiadają Francuzi; my zaś — chcąc to przysłowie *na polskie* przetłómaczyć, musimy powiedzieć: „Szukajcie żyda!“ — we wszystkim mianowicie, gdzie coś niedobrego się zdarzy.

Otóż na dnie fatalnej historii Banku włościańskiego, która obecnie tyle troski i kłopotu sprawia tu wszystkim, siedzi także żyd tutejszy — niejaki dr. Jan, *recte* Jonasz

niał przekonani się, że nie tak to łatwo jak się zdaje ze szlachckiego dworku wyjechać...

Konie były oddawna wyprężone, powóz stał pod szopą, a stangret, w kuchni, właśnie się do kolacyi zabierał. Ciotka Józefa kilka razy tylko wyszła z pokoju i bez bieganiny, krzątający i kłopotu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, znalazło się przyjęcie, niewykwintne wprawdzie, lecz wyborne i podane z tą delikatną a serdeczną uprzejmością, która nasze gospodynie cechuje.

Stół nakryto w dużej, pół oszklonej werendzie, od ogrodu. Pan Stanisław z pułkownikiem rozmawiał, Alfred zaś do Klaruni się przysiadł.

Mówili z sobą dużo, a w miarę jak rozmowa trwała, zupełnie odmiennych doznawali wrażeń. Alfredowi czarne oczy Klarci wydawały się jeszcze bardziej pięknymi, bardziej rozumnymi, niż wtedy gdy ją po raz pierwszy na stawie ujrział. Alfred natomiast w oczach Klaruni tracił nieco.

Gdy jej zaczął opowiadać o życiu miejskiem i jego przyjemnościach, o zabawach wypełniających czas cały, patrzyła na niego z podziwieniem; gdy jej treści najświeższych komedij francuzkich opowiadał, a w rozmowie przypadkiem się zdradził że polskiej literatury zna bardzo niewiele, — wówczas spojrzła mu w oczy i znalazła, że nie jest tak ładnym jak wówczas, gdy zakłopotany na stawie kłaniał jej się i za wyświadczoną przysługę dziękował...

Fried. On był inicjatorem i twórcą Banku włościańskiego, jak niemniej także, głównym jego kierownikiem aż do ostatniego czasu, t. j. do tej chwili, w której za dekretem rządu krajowego został przymusowo z tego stanowiska usunięty.

Bank włościański, którego firma brzmi urzędownie: „Cesarsko-królewski galicyjski Zakład kredytowy włościański we Lwowie“ powstał w roku 1869. U steru rządu stał wówczas w Austrii gabinet centralistyczny Hasner-Giskra. Skorzystał sprytnie z tej okoliczności dr. Fried, i *gründerstwu* swojemu nadał cechę polityczną, nibyto antypolską, iżby tym sposobem zjednać sobie łaskę ministra Giskry. — W tym celu podszyl się dr. Fried pod firmę metropolity unickiego we Lwowie, ks. Spiridyona Litwinowicza i dra Juliana Ławrowskiego, prezesa ówczesnego klubu posłów rusińskich w sejmie. — Za pomocą ich wpływów wyjednał w Wiedniu z łatwością nie tylko koncesyę dla projektowanego przez siebie banku, lecz nawet znakomite dla niego przywileje. — Gdy bowiem włościańska posiadłość ziemska nie miała jeszcze wtedy w Galicyi ksiąg hipotecznych, dr. Fried z podziwu godnym talentem potrafił obejść tę niedogodność, i przy pomocy zręcznie obmyślanych przywilejów, nadał mu na zewnątrz wszelkie pozory prawdziwego zakładu hipotecznego, a wydawanym przez bank listom dłużnym pozory prawdziwych listów zastawnych.

Skoro tylko dr. Fried cel swój powyższy osiągnął, i miał zakład zorganizowany, wtedy powoli wycofał się z nim z tego obozu politycznego, którego firma tak ważne oddała mu przy założeniu banku usługi. Do prowadzenia interesu potrzebne mu znów były osobistości, które rozporządzały wpływami w kierujących sferach władz krajowych. Z niemi przeto sprzymierzył się dr. Fried — i dobrze mu z tem było... Ustanowiony do czuwania nad biegiem interesów Zakładu kredytowego włościańskiego komisarz rządowy, zmarły niedawno w Wiedniu radca ministerjalny, pan Eckhard, bezwarunkowo wszystko podpisywał, cokolwiek mu dyrekcya Zakładu do podpisania przedłożyła.

Z roku na rok Bank rozszerzał się i potężniał. Agentom przyrzeczono prowizyę od dokonanych interesów, co miało taki skutek, iż ci panowie na gwałt pchali chłopom pożyczki, byle tylko jak najwięcej tych pożyczek rozdać, i w jak najwyższych sumach, radząc sobie rozmaitemi sposobami w takich wypadkach, kiedy hipoteka nie wystarczała do wymaganego statutem ubezpieczenia kredytu, albo jeżeli ofiarowany w zastaw grunt, nie należał do pożyczającego. Tak lekkomyślne i niesumienne postępowanie przy pierwotnem rozdawnictwie pożyczek, odrazu postawiło instytucyę na fałszywym gruncie. W kraju to wiadzano, i dla tego od samego początku swojego istnienia, nie posiadał Bank ów ani sympatyj ani zaufania w opinii publicznej.

Dr. Fried niewiele jednak dbał o to. Chociaż w kraju porządni ludzie nie chcieli kupować listów dłużnych Banku włościańskiego, dr. Fried znalazł przecie i na to sposób. — W Wiedniu ulokował brata rodzzonego, który przez

— A zatem nie lubi pan wsi? — zapytała.

— Co prawda... niebardzo, tak na wypoczynek, w lecie, na jakiś czas przyjechać — to dobrze.

— Więc pan wypoczywa teraz?

— Tak, pani.

— A co pan zwykle robi? — zapytała bez żadnej złej myśli.

— Kiedy?

— No, wtenczas? kiedy pan nie wypoczywa.

— Ciągłe mam czas zajęty...

— Poświęca się pan zawodowi jakiemu?

— Właściwie nie, lecz wizyty różne... tyle znajomości... ciągle się jest na nogach...

— Tylko tyle?

— Jakto... tylko tyle? a nawzajem, jeżeli wolno zapytać, co też pani robi?

— Dotychczas się uczyłam.

— A teraz?

— Od pół roku już nie — jestem teraz bardziej zajęta w domu.

— Krzyżową robótką? — spytał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

swoje stosunki giełdowe rozpuszczał owe listy Banku włościańskiego pomiędzy kapitalistami niemieckimi. Nie było to zresztą wielką sztuką, gdyż obligi te przynosiły swoim posiadaczom nie tylko 6% zwykłego procentu, lecz umiał jeszcze dr Fried wystarać się zawsze i o superdywidendę w wysokości 1—1 1/2%. Tym sposobem „listy zastawne“ Banku włościańskiego przynosiły 7%, a czasem nawet i więcej, podczas gdy wszystkie inne walory hipoteczne w Austrii przynoszą 4—5%. Ztąd też pochodzi, że listy wspomniane znajdowały bardzo łatwy zbytny na giełdzie wiedeńskiej.

Tymczasem chłopci, pobrawszy pożyczki rzadko kiedy myśleli o ich spłacie. Zarząd Banku, mając łatwość dostania gotówki, nie zabrał się od razu do ściągania zaległości, gdyż i dyrekcji i agentom przyjemniej było „rozszerzać interes“, t. j. rozdawać nowe pożyczki, niż trudzić się z mudnem i uciążliwym ściąganiem rat. Tym sposobem popełniono drugi kardynalny błąd, który przyczynił się znacznie do podkopania bytu instytucji — mianowicie zabrnęto po uszy w zaległościach.

Później dopiero, gdy zaległości zaczęły coraz więcej ciążyć instytucji, zabrano się do ich ściągania przymusowego. Przy tej sposobności powykrywały się olbrzymie zaniedbania przy pierwotnym rozdawnictwie pożyczek. Nieściągalne pożyczki ukrywano w rachunku „zalegających wierzycieli“, a dla wynagrodzenia strat zaczęto obdzierać pod rozmaitemi tytułami lepszych, solidniejszych płatników. Posypały się też egzekucje sądowe, o ile zaś to wszystko nie wystarczało, wydawano listy dłużne bez rzetelnego pokrycia realnego, ile było potrzeba, a za nie wpływała z Wiednia gotówka. — Do końca roku 1882 rozpoczął Bank włościański kroki egzekucyjne przeciwko 10,252 dłużnikom i zlicytował 2,941 gospodarstw; obecnie zaś, z chwilą rozwiązania zakładu, jest w toku około 22,000 procesów sądowych o takie zaległości. To znaczy, że przeszło połowa dłużników Banku włościańskiego jest zaskarżonych — ogólna bowiem liczba jego klientów wynosi około 40,000.

*Teofil Merunowicz.*

(Dokończenie nastąpi.)

## Listy z nad Newy.

XVI.

*Petersburg 15 Lutego.*

O balach karnawałowych, o zabawach na wielkim świecie, których jest bardzo wiele obecnie, choć mniej świetne niż zeszłoroczne, nie będę mówił w tym liście. Nie wspomnę też i o balu „polskim“, który odbył się niedawno. Tak w Wiedniu jak w Petersburgu i gdzieindziej, bal polski, o ile miałby charakter jakiejś solenności zamiejscowej, nie ma wedle mnie żadnej racji bytu. O ile jest znowu zabawą czysto lokalną, prywatną, niewiele obchodzić może i powinien czytać ogół. — Dla jaśniejszego dopowiedzenia mej myśli, pozwolę sobie zacytować wymowny fakt z dalszej i mniej dalszej przeszłości: madyarowie publicznych balów narodowych w Wiedniu nigdy nie wyprawiali i nie wyprawiają, choć mają także taniec narodowy nie lada, — czardasza.

Nie wspomnę też o dwóch gwiazdach tegorocznego „high-lifu“ tutejszego, to jest o niedawno przybyłym synu niemieckiego kaclerza, hrabi Herbercie Bismarcku i o żonie bankiera Efrussiego z Odessy z domu Rothschild, która rozwija co wieczór czary, brylantów i powaby... coraz zbytkośniejszych galganków, uszytych w „pracowni“ Wortha w Paryżu. O tych wszystkich rzeczach zdarzy się może sposobność pomówienia w jednym z przyszłych listów. — Dziś przejdziemy do motywu mniej poetycznego, wedle niepraktyków, a bardziej poetycznego wedle bardzo, bardzo niestety licznych praktyków. — to jest do... gorzałki.

Jak wiemy, jedną z najważniejszych pozycji w budżecie dochodów państwa stanowią opłaty akcyjne, sięgające olbrzymiej cyfry 270 milionów rubli, to jest blisko trzeciej części wszystkich dochodów państwa. W tym stanie rzeczy, wszelkie fiskalne intencje na nic się nie przydadzą, dopóki nie znajdzie się źródło innego dochodu, dające taką samą cyfrę, — dopóki etyka z cybernetyką muszą rozchodzić się w poglądach swych i dążeniach dotyczących sprawy pijaństwa. — Tej najoczywistszej prawdy nie widzą, nie chcą zazwyczaj widzieć wszyscy moralisci, upatrujący w trzeźwości narodu zbawienie. Zapewne, że zbawienie w tem jest, do

pewnego stopnia przynajmniej — ale nie dla finansów. Idealnie rzeczy biorąc, to i o finanse mniejsza; jakoż tylko nadmiarem idealizmu wytłómaczyć można wszelkie pomysły mające na celu tryumf wstrzemięźliwości, na której żadne na świecie finanse w rzeczywistości się nie zgodzą.

Obecnie kończy swoje zajęcia jedna z wielu komisji, które w ostatnich czasach o handlu gorzalczanym radziły. Przepisy, które komisya ma na ukonieczeniu, budzić mogą nadzwyczajny interes; trudno bowiem o coś mniej odpowiedniego higienie od przepisów dzisiejszych, które ścigając kieliszek koniaku przy kawie czarnej, wytepiły wspomnienie dobrych wódek i likierów, a dodają ostrogi nałogowi pijaństwa, utajonemu w „oczyszczonej“. Przepisy te wielkiej zapewne wagi tak dla producentów jak i dla konsumentów, niechże przynajmniej uwzględnią higienę, a już będą miały pewną zasługę.

Są narody które piją tyle a może i więcej co rosyjski, ale żaden nie jest przymuszony pić w sposób tak... niezdrowy jak to zaraz zobaczymy na przykładzie. Anglicy i holendrzy piją jak smoki, — teżsi są przecież i wytrzymali w piciu od rosyjan. Sam miałem przed kilku laty przed oczyma najprawdziwszy tego dowód. Kiedy w końcu roku 1880 marynarka wojenna kilku państw odstąpiła od Cattaro, część jej zimowała w Neapolu. Była tam między innymi eskadra rosyjska i angielska. Otóż wiadomo że marynarze w ogóle wiele piją, że każdy majtek ma wyznaczoną etatem porcję gorzałki lub rumu. Zdarzyło się, że pewnej niedzieli anglicy zaprosili do siebie na „dżyka“ kolegów rosyjskich; kiedy przyszło do ugoszczenia, pokazało się że majtkowie angielscy, pijący na równi z gośćmi, tańczyli jeszcze w najlepsze, kiedy gości, urżniętych co się zowie, pakowano do szalup i odstawiano do właściwych okrętów. Następnej niedzieli powtórzyło się mniej więcej to samo na okrętach rosyjskich, gdzie hojnie ugaszczano anglików. Pili oni zawzięcie „oczyszczone“, ale formalnie pijanego nie było. Jedna rzecz wszakże wpadła mi wtedy w oczy: anglicy nie piją tyle trunku przed jedzeniem, ile w trakcie i po jedzeniu; toż samo zauważyłem później u holendrów, u Niemców, słowem wszędzie. W Rosyi w sferach ludowych żołądek na czczo bywa zalewany gorzałką i to go truje.

Powie kto, i bardzo słusznie nawet, że akcyza nie ma z tym objawem żadnego związku. Zapewne, jest to zwyczaj taki dobry lub zły jak każdy inny — jednakże akcyza grzeszy bardzo, bo znając ten zwyczaj, nie stara się go zmienić.

My w Królestwie mamy jeszcze jakie takie pod tym względem urządzenie; ale kto przyjrzy się warunkom konsumcyi gorzałki i piwa tutaj, — ten z trudnością będzie mógł pojąć, jakim sposobem po tylu reformach, przeistoczeniach, zmianach typu, nazwisk szynkowni, rzecz sama nie zmieniła się wcale.

Tutaj w Petersburgu, istnieją trzy główne typy szynkowni dla klasy prostej i średniej: „traktir“, „pitiejny dom“, (właściwy szynk) i „porternaja“ — piwiarnia. W „traktirze“ dostać można wszystkiego, t. j. jedzenia, piwa, wódki i herbaty; w domu „pitiejnym“ tylko piwa i wódki, i konsumować można tylko stojąc, krzesel nie ma; w piwiarni tylko piwa, porteru i wód gazowych, bez żadnej przekąski; pić można jeść nie wolno. — Dodać do tego należy jedną ważną okoliczność: kawiarnia w pojęciu wiedeńskim, cukiernia w pojęciu warszawskim, — w Petersburgu nie istnieje; opłata patentowa od sprzedawania kawy gotowanej jest wysoka, i człowiek pragnący wypić filiżankę kawy na mieście, parę wiorst zejść musi, zanim natrafi na jakąś niemiecką najczęściej pół-garkuchnię, pół-cukiernię, gdzie mu podadzą szklanekę szczerzej „Blumen-Kaffee“. Chyba że pójdzie do „traktiru“. Ale jak tylko znalazł się w tym przybytku i zgłodniały zobaczył szereg już gotowych przekąsek, a obok szereg flaszek z gorzałką, — prawie założyć się można, że go odbiegnie chęć do kawy. — A jednak kawę tylko w „traktirze“, tylko w tem otoczeniu pić można. Dla tego też... nikt jej nie pije.

Jak owo skojarzenie kawy z gorzałką wpływa na zwiększenie konsumcyi gorzałki, tak skojarzenie wód gazowych z piwem w „porternych“ wpływa dobroczynnie na zbyt piwa. Wejść do cukierni ochłodzić się małym syfonem wody sodowej z sokiem i przekąsiami ciastkiem, jest rzeczą tutaj tak niepodobną do wiary, jak naprzykład jeść wodę łyżką, lub coś podobnego. — W piwiarniach petersburskich zalewają ludzie żołądek piwem przez kilka godzin z rzędu naczczu, tak samo jak w „pitiejnych“ domach zalewają go piwem lub gorzałką. I ztąd i ztamąd wychodzą też od dziewiątej i dziesiątej rano (zakłady te otwierają się o 7) zygżakujące zastępy robotnicze, najkompletniej „fertig“, to jest gotowe już pić do niepamięci. Do ostatniej kopiejki — i gotowe w przystępie szalu do czego się żywnie podoba. Opowia-

dano mi, że nieraz całotygodniowy zarobek puszczonego bywa w ten sposób przez niedzielę i połowę poniedziałku na *samo picie*, a jak zbraknie grosza, idą po kolei na zastaw do żyda: paletot, surdut, szarawary i buty nawet. We wtorek lub środę, goły jak turecki święty robotnik lub rzemieślnik, z nieopisanym katarem wyczerzonego żołądka i bólem głowy, z licem wybladłym i zakłętym, ze skamieniałymi oczyma, zasiada do pracy. Czy dużo zrobi i jak zrobi?

Obrazek powyższy wzięty jest żywcem z natury. Jak w obec niego wyglądają cześć deklamacje o ukróceniu pijaństwa? Jaki ich cel i pożytek? Żaden: widzieliśmy już to przed dwoma laty, kiedy obradowała umyślnie w tej sprawie ustanowiona „komisyja“, której prace do niczego nie doprowadziły. I ona też zapomniawszy kład państwo czerpie największe dochody, i ona bawiła się w ideologię i apostołowała umoralnienie ludu drogą ograniczeń patentowych w handlu wódką, zamiast zdobyć się na odwagę cywilną i wskazać dotykałnie przyczynę złego, a pijaństwo traktować: raz jako *malum necessarium*, powtóre jako skutek nie zaś jako przyczynę.

Kiedy patrzymy na pijane tłumy wychodzące z tutejszych „traktirów“ i pomyslmy że o wiorstę za kordonem gorzałka sprzedaje się z taką samą prawie swobodą jak bułki albo marki pocztowe, ale zawsze z jedzeniem, kiedy pomyslmy o tem mnóstwie piwa wypitego przez przeciętnego Niemca, ale zawsze z przekąską; o tem mnóstwie dżynu, whisky i porteru wypitego w Anglii codziennie, ale przy bifiksyku, o likierach pijanych w Holandii nawet przez kobiety i dzieci (i to po parę lub kilka kieliszków) ale po obfitym obiedzie; o całej skali pijaństwa francuzkiego z absentem i włoskiego z „mistrą“ i „grappą“, — niepodobna nam obronić się sumiennemu przekonaniu, że przepisy akcyzowe tutejsze wymagają jak najrychlejszej reformy.

Zagranica pije swobodniej bez tych pozornych ograniczeń; dalej, pije ilościowo tyle co i Rossya, o czem świadczą cyfry dochodu akcyzowego, prawie jednakowe wszędzie (ob. Almanach de Gotha); ale pije co innego, a przedewszystkiem pije inaczej.

Jeżeli nowe przepisy, będące obecnie w opracowaniu, uwzględnią tę stronę kwestyi, i ujmą handel napojami mocnymi w takie karby, iżby o ile możności najmniej truli żołądki konsumentów; — jeżeli przytem zdołają zapobiedz rzeczonym przepisom kontrabandzie, która przynosi krzywdę i skarbowi i konsumentowi, dając mu produkt lichy, — obowiązkiem każdego będzie przyznać, iż przepisy te zrobiły swoje.

*Zemajtys.*

## NA POSTERUNKU.

O pewnej instytucji pewnych przemysłowców warszawskich. — Dziwne pytania. — Mali i wiele. — Moja obrona *niewinnie* napadanej kasy. — Czym dość przekonał malkontentów? — Witam „Izraelitę“. — O co się gniewa i czego nie lubi mój „serdeczny“. — Bezrozumni i mądrzy. — Tylko dwie cyferki. — „Tygodnik Ilustrowany“ maltretuje *Rolę* za obronę ziemiaństwa. — Uczęciwa służba i pokorna prośba do moich przeciwników.

Niektóre z pism wyraziły lekkie... zdziwienie z powodu ostatniego sprawozdania pewnej instytucji przemysłowców warszawskich. Dlaczegoż to, zapytano z wszelką możliwą galanterją, dajecie panowie coraz mniej pożyczek przemysłowcom drobnym, a coraz więcej wielkim? Co do mnie, nie podzielam wcale ani tego zdziwienia, ani nawet tych interpelacyj na jakie zdobył się na ostatniem posiedzeniu „reprezentantów“, jeden jedyny członek tego dość licznej grona.

Nie pojmuję doprawdy, jak p. Makowiecki, w instytucji ukołysanej tyloma już pochwałami, spoczywającej tak wygodnie na miękkim pułku... wzajemnej adoracji — jej „poświęcających się dla dobra ludzkości“ kierowników i należącej wreszcie do kategorii „nietykalnych“, mógł stawiać takie dziwne pytania:

Dlaczego, pytał on, wśród uczestników kasy zmniejszyła się liczba czeladników różnych rzemiosł i majstrów prowadzących warsztaty na mniejszą skalę? dla czego, pytał dalej, nie wzrosła wcale liczba robotników fabrycznych, a powiększyła się natomiast ilość uczestników nie mających nic wspólnego z przemysłem? Dlaczego, pytał wreszcie pan M., w tabelce obejmującej pożyczki udzielone z oznaczeniem *wysokości* sum, wykazano iż pożyczek po nad 4,000 rubli

dano 69, a nie oznaczono dokładnie, *jakiej to* mianowicie wysokości były te pożyczki?

Ponieważ na pytania powyższe ani szanowny interpelant, ni zainteresowany z nim ogół *prawdziwych* przemysłowców warszawskich, nie otrzymał równie wyraźnej odpowiedzi, jak wyraźnymi były owe: *dla czego*, przeto sądzę, iż interpelowani kierownicy owej instytucji, wdzięczni mi będą, gdy ich w tym wypadku postaram się wyreżyczyć.

Przedewszystkiem kassa, odprawiając „z kwitkiem“ przemysłowców drobnych, a przyjmując z otwartymi ramionami tak zwane „grubsze ryby“, posłała tylko za prądem przeważającym i w społeczeństwie i w prasie naszej. Nie lubimy zajmować się „drobiazgami“, kochamy się w „polityce wielkiej“, więc cóż być może tak bardzo gorszącego, że i instytucja wspomniona stanęła na tym samym gruncie? Powstała ona wprawdzie, jak to opiewa wyraźnie jeden z najpierwszych paragrafów ustawy, przedewszystkiem dla wspierania drobnego przemysłu, przedewszystkiem miała ona niesieć pomoc tym właśnie zwyczajnym pracownikom warsztatów, o których pan M. zapytywał; lecz czyż kierunek taki odpowiadałby interesom wielkiej polityki — wielkiego... przemysłu?

Gdyby kasa spełniała ściśle pierwotne swe zadanie, to: 1) musiałaby mieć do czynienia tylko z tak nazwaną „chłotą“ i 2) byłaby tylko kasą zwyczajną... Tymczasem każdy wie przecież, iż lepiej, przyjemniej jest mieć do czynienia z „poważnym“, cywilizowanym kupcem z Nalewek, lub „bankierem“ z Krakowskiego Przedmieścia, niż z jakimś brudnym szewcem ze Starego Miasta. — Z drugiej znów strony, czyż nie *wygodniej* być bankiem prowadzącym interesy *poważne*, niż kasą rzemieślniczą, zmuszoną do obliczania jakichś głupich, kopiejkowych pozycyji? Wprawdzie na tych operacyach „z grubemi rybami“ nie robi się zbyt świetnych interesów; wprawdzie niejedna z tych „ryb“ poślęła już niemalą część zysków ogółu uczestników, — podczas gdy nie słyszałem, aby jakiś „zwyczajny“ szewc lub krawiec zarwał kasę na 10 lub 15-cie tysięcy rubli; — lecz czyż instytucja może być odpowiedzialną za to, iż „wypadki“ (chciałem powiedzieć „upadłości“) chodzą po ludziach?

Wprawdzie, dodam jeszcze, dzięki tym „wypadkom“ cały niemal „fundusz zarezerwowany“ zamiast na powiększenie zysku stowarzyszonych powędrował... sobie „na pokrycie strat“ lecz czyż nie wyłożono już tego jak na dłoni, iż w obec smutnego nastroju stosunków ekonomicznych w Europie i kasa *rzemieślnicza* w Warszawie, „mimo całej *przezorności* zarządu“, musiała z funduszu drobnych krawców i szewców, pokrywać „smutne“ bankructwa firm poważnych, grubszych?

Obok tego, kasa działając „z całą *przezornością*“ musi dbać nie tylko o zyski i całość funduszu uczestników, ale i o cele wyższe, o harmonię interesów społecznych, a przedewszystkiem o harmonię pewną w stosunkach kredytowych. Gdyby kasa zbyt skwapliwie zaspakajała żądania tych, dla których powstała, wówczas mogłyby upaść pewne bankczki mniejsze, pewnych... *manów* i... *blumów*, czyli że jedność i zgoda z „dziećmi jednej ziemi“ mogłyby się rozstroić, a to, nie byłoby ani obywatelskiem, ani zgodnym z ideą tolerancji — propagowaną przecież przez... tyle pism warszawskich.

To też nie należy się dziwić że owa pewna instytucja przemysłowców, stojąc wytrwale na gruncie harmonii interesów, doprowadziła ją do takiego ideału, iż stała się ostatecznie instytucją *pewnych* przemysłowców warszawskich, stanowiących jakby jedną... rodzinę.

Członkowie tej rodziny, kochający się istotnie jak rodzeni bracia, poręczają jedni za drugich bez namysłu, obdzielają się wzajemnie kredytem bez krępujących ograniczeń, choć zawsze, naturalnie, z „przezornością wszelką“, i dzięki też tej zgodzie żywiołów tak serdecznie złota nicią złączonych — żywiołu opozycyjnego tutaj, w tej instytucji, nawet na lekarstwo nie znajdziesz. A że tam z pewnych operacyj wyczerpujących, jak świadczy sprawozdanie, aż do dna „fundusze rezerwowe“ nie kontent jakiś „drobiazg“, nie pojmujący co to są „upadłości“ w wielkim świecie handlowym, toć przecie Europa nie zawali się przez to.

Nie wiem czy ta moja obrona jednej z *niewinnie* napadanych instytucji prywatnych, trafi do przekonania „malkontentów“, muszę jednak ją skończyć, gdyż spieszo mi po długim niewidzeniu, uscisnąć jeden z organów naszej prasy... starozakonnej.

Serdeczny „Izraelito“! tyle klątw rzuciłeś i rzucasz na mą głowę, a mnie zawsze tęskno do ciebie. Przeto pozwól mi powitać cię znowu apostrofą maleńką.

„Izraelita“, zwyczajem swych współwyznawców, nie lubi gdy ich ktoś przelicza. Otóż nie podobał mu się i artykuł Merunowicza („Większa własność ziemska w Galicyi“) po-

mieszczony w *Roli*, więc... zawołał gniewnie: Co wy chcecie od nas, „niezaradne“ goimy! Skarżycie się iż wam żydzi zabierają ziemię,—a pocóż im ją dajecie? Żyd—prawi mój przyjaciel—nie jest ani tak bezrozumny, ani tak niezaradny, ani wreszcie tak marnotrawny jak wasz szlachcic polski. Żyd pracuje, zabiega, więc ma, i gdyby nie ta jego praca (!) tobyście wy wszyscy przepadli już z kretezem. Żyd wam daje dobrobyt, więc czołem przed nim! Ale... przyjacielu drogi! — co do pierwszej sentencji twej przemowy, to jesteśmy w takiej zgodzie jak nigdy. — Nie chcemy właśnie dać wam połknąć wszystkiego, i dlatego chcemy najprzód wiedzieć, coście już połknęli. Ztąd te cyfry i obliczenia, które jeżeli kogo to was, ludzi znających się przecież dobrze na rachunku, nie powinnyby ani dziwić ani tak bardzo irytować. Chcemy też stać się „zaradnymi“ o tyle przynajmniej, iżby pomoc i opieka wasza była nam mniej... potrzebną, a to znowuż nie jest ani „zaciekle żydożerstwo“, ani żadna „nienawiść plemienna“. Owszem, my to wasze mądre, zaradne i *szlachetne* plemię, możemy nawet kochać, tylko, darujcie mej szczerości... zdaleka, jak najbardziej zdaleka.

Co zaś do drugiej sentencji mojego przyjaciela, co do owej *pracy* żydów i tego *dobrobytu* jakim kraj uszczęśliwiają, miałbym trochę więcej do powiedzenia. Ponieważ je dnak wątpię, iżbyśmy się i pod tym względem równie łatwo porozumieć mogli, przeto zamiast zaogniania stosunku z mym „serdecznym“ zbyt długą odpowiedzią, wolę sięgnąć do sprawozdania „szkoły rzemiosł“ przy ulicy Jasnej, i wyjąć z niego tylko dwie cyferki.

Dwie cyferki małe ale dziwnie wymowne.

Oto na ogólną liczbę uczniów, uczęszczających do tej szkoły — było w roku zeszłym 103 owych „leniwych“, „bezzrozumnych“ gojów, a 7, wyraźnie *siedmiu* „pracowitych“, „zabiegliwych“ synów Izraela. Dlaczego? Czy im, biedakom, broni kto wstępu? Czy ich trzyma zdala od szkoły, jakaś „dzika nienawiść“, albo „zgniłe przesady“? Broni Boże! Jeżeli może coś odsuwać żydów od nauki rzemiosł, to chyba tylko to gorące *zamiłowanie pracy*, o którym mój druh starozakonny tak szeroko, tak wymownie rozprawia. Więc uspokój się drogi „Izraelitu“ i nie bądź tak namiętnym, boć widzisz zresztą, iż są u nas pisma które w apologii judaizmu nawet ciebie przechodzą.

Oto czytam właśnie „Tygodnik Ilustrowany“ i biję się w piersi. Przebac, ach przebac, panie kronikarzu! iż nie mogąc znieść tej kociej muzyki, jaką pan Prus wyprawia systematycznie „głupiej szlachcie polskiej“ w „Kuryerze Warszawskim“, poważylem się przemówić tylko... za słusnością, i poprosić o cząstkę przynajmniej tego pobłażania, jakie macie panowie dla mądrych, przemądrych władców złota. Mogłem za to spodziewać się gromów z „Prawdy“ lub „Izraelity“, mogłem ich oczekiwać z „Przeglądu Tygodniowego“, lub wreszcie ze starozakonnego „Kuryerka“ p. p. Orgelbrandów; nie sądziłem jednak iżby mnie za to „schlebianie szlachcie“ zmaltretował zachowawczy „Tygodnik“ p. p. Gebethnera i Wolffa. Więc zgrzeszyłem widocznie i powtarzam: przebaccie!

Nie uważaj, kolego, woła do pana Prusa kronikarz onego „Tygodnika“, na napaści „krzykaczy“, bo „choćbyś służył żydom a uczciwie (!) jeszcze i to nie byłoby grzechem“. Zapewne, zapewne. Poczieszajcie się panowie wzajemnie i „służcie żydom“ skoro, jak sami powiadacie, służba taka nietylko nie hańbi *publicysty*, ale i „grzechem nie jest“. — Służcie im nawet w chwili gdy kraj, czując całą okropność położenia, pragnąłby się wydobyć z gniołącego jarzma tych waszych „obywateli“, odetchnąć swobodniej i zaczerpnąć sił do istnienia, do życia. Tylko, na Boga! nie przypuszczajcież przynajmniej, iż ten tylko może służyć „uczciwie“ kto „służy... żydom“. Wszakże w oczach nawet tak żydźlałej prasy, jaką jest znana większość warszawskiej, chęć służenia niekoniecznie żydom, lecz swoim i *najbliższym*, nie powinna chyba jeszcze być... zbrodnią.

Kamienny.

## Wystawa etnograficzna Kamczatki i wysp Komandorskich.

(Zbiory Dra B. Dybowskiego.)

Dobrze się zasłużyło Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, iż potrafiło uprosić Dra Benedykta Dybowskiego, aby część swych zbiorów, dotyczących etnografii krajów przez niego

zwiedzanych, zechciał wystawić na widok publiczny. Tym sposobem publiczność nasza jest w możności nietylko nauczyć się wiele i naocznie przekonać o życiu tych plemion, o których się często słyszy a mało się ma o nich wyobrażenia, lecz zapoznać się choć w części z osobistością naszego uczonego podróżnika. Boć wysłać się dobrowolnie, z takim zaparciem się na Kamczatkę, wyłącznie tylko w celu naukowym, umieć skorzystać z czasu i okoliczności aby zebrać tak olbrzymi materiał przyrodniczy, potrafić wreszcie tak go ugrupować iżby wszechstronnie, aż do najdrobniejszych szczegółów, umiejętnie daną rzecz przedstawić, jak to się właśnie na wystawie, o której mówić zamierzamy, okazuje, trzeba być doprawdy niepospolitym człowiekiem.

Zwiedzając tę wystawę, przenosimy się jakby żywcem w owe dzikie i mroźne strony, wespół z Kamczadałami, Aleutami, Łomatami, Koryakami i inne plemiona, badane przez Dra Dybowskiego.

Plemiona te, zajmują się przeważnie rybołówstwem i myślistwem. To też przedewszystkiem widzimy przed sobą porozwieszane na wystawie siatki do łowienia soboli, bobrów i ptaków wodnych, modele wiewiórki i różnych sieci do łowienia ryb, które (najczęściej suszone) służą na pokarm nietylko dla ludzi, lecz i dla psów, nieodstępnych towarzyszy owych dzikich plemion.

Z wystawionych bardzo licznych fotografii powziąć można wyobrażenie o głównych typach mieszkańców tamtych okolic. Typy to wybitnie azjatyckie, o rysach twarzy nie posiadających cech inteligentnych. Twarze po większej części szerokie, o oczach małych, nosach płaskich i ustach szerokich. Niektóre typy, szczególnie Buryatów bardzo są zbliżone do japończyków i chińczyków. Ubiory ludności miejskiej są europejskie, a nawet pomiędzy płcią piękną, niekoniecznie zresztą na to miano, w ścisłem znaczeniu, zasługującą, można spotkać pewnego rodzaju elegancję, z uderzającym jednak brakiem gustu i poczucia piękna.

Ludność wiejska używa odzieży bardzo ciepłej, odpowiedniej do klimatu, ale zarazem i bardzo prostej. Jest to odzież skórzana i futrzana; tkanin nie robią i nie używają. Najczęściej też całe ich ubranie z jednej sztuki się składa.

Bardzo oryginalne są koszule uszyte z kiszek młodych niedźwiedzi „kotików“ lub skóry rybiej. Wyglądają one jakby z pęcherza. Obuwie noszą futrzane lub zamśzowe bez obcasów, o cienkich podszwach, najczęściej z długimi cholewami i takież same pończochy. Rękawice podobne jak buty futrzane o dwóch palcach. Wreszcie czapki w rodzaju naszych futrzanych, często paciorkami wyszywane, uzupełniają oryginalne te ubiory. Podczas podróży morskich używa się zwykle nakrycia na głowę bez denka, w rodzaju daszka na oczy.

Mieszkania Kamczadał są to tak zwane jurty, ciasne lepianki w ziemi, z wejściem u góry. Wychodzą one obecnie z użycia, a zastępowane bywają chałupami drewnianymi, dobrze zbudowanymi. — Na lato mieszkańcy Kamczatki budują sobie zwykłe mieszkania przeliewne, na palach.

Środki komunikacyjne najdogodniejsze w ziemie saniami, zaprzężonymi w psy lub renifery.

Tam gdzie śniegu jest dużo, idący pieszo przypinają sobie do nóg odpowiednie łyżwy, w kształcie długich deszczek na końcu zaokrąglonych, unikając tym sposobem zapadania się w śniegu.

Na morzu używają długich, lekkich czółen, czyli bajaderek, obciągniętych w całości skórą, tak, że pozostawiony jest tylko jeden lub kilka otworów, przez które wchodzi się po pas do czółna. Takimi bajaderekami posługują się przeważnie podczas polowania na morskie zwierzęta. Bardzo ładne wystawione modele zapoznają nas z budową i sposobem użycia owych bajaderek.

Broń używana na polowaniach jest bardzo pierwotną. Są to długie strzały albo pociski, które mieszkańcy nadmorscy umieją doskonale władać. Strzały te są drewniane, zaostrome kawałkiem obsydyanu, t. j. pewnego gatunku kamienia podobnego do krzemienia, i opatrzone zwykle małym, podługnym pęcherzem, prawdopodobnie dla tego, aby w razie wpadnięcia do wody nie zatoneły. Strzała taka wyrzucaną bywa albo wprost ręką, za pomocą małej deszczki, albo też ze zwyczajnego łuku, przez naciągnięcie cięciwy.

Półow tutejsi myśliwi mają obfity i drogocenny. Najkosztowniejsze futra ztąd właśnie pochodzą. Zaraz przy wejściu na wystawę widzimy porozwieszane skórki jako okazy owych futer. Są tu bardzo piękne sobole, bobry, niedźwiedzi, czyli właściciel skóry z młodych bobrów, lisy białe, niebieskie, czerwone i bure, susły kamczackie, gronostaje, niedźwiedzie, łabędzie, koty morskie, wreszcie skóry fok i morsów.



Rolnictwo stoi w tych krajach na niskim stopniu, z powodu bardzo niesprzyjającego klimatu, jednakże uprawiają tu niektóre zboża. Widzimy okazy niezłego owsa i jęczmienia, gryki tejże samej, która i u nas się wszędzie uprawia, wreszcie okazy dość mizernego prosa. Groch także tu rośnie, lecz okazy jego dowodzą, iż nie musi on zupełnie dojrzewać. Prócz tego wystawionych jest dużo okazów produktów roślinnych, nieuprawianych, używanych jednak już to jako pokarm, już też w celach leczniczych. Uderzająco dużą jest liczba cebul i korzeni jadalnych; z tych ostatnich tak zwana kiemczyga ma być bardzo smacznym pokarmem, podobnym do kasztanów jadalnych. Z cebulek tak zwana sarana pochodzi z pewnego gatunku lilii. Nakoniec w ciekawym tym dziale spotykamy jeszcze okazy drzew iglastych, traw i innych roślin.

Z produktów mineralnych na szczególną uwagę zasługuje talk, który po przepaleniu, służy do bielienia izb i piasek złoty z wyspy kurylskiej Szumsza.

Przemysł i sztuka u mieszkańców Kamczatki tudzież krajów sąsiednich stoi na bardzo niskim stopniu. Nie produkują nic takiego, co by stać się mogło przedmiotem handlu na szerszą skalę, a wyroby ich ograniczają się jedynie do przedmiotów niezbędnych w życiu codziennym. A więc przedewszystkiem mieszkańcy wyprawiają skóry do ubrania i innych użytków. Widzimy tu mianowicie dwa okazy skór z fok surowych i wyprawionych na safian biały i czerwony, oraz skóry reniferów w różnej postaci. Ciekawe są nici i sznurki, służące do szycia i wiązania, z mięśni reniferów, zwane inaczej żyłkami, oraz także same nici i powrozy bardzo mocne, z pewnego gatunku pokrzywy. Pokrzywa owa podobna jest do naszej, chociaż znacznie większa. W Kamczatce zastępuje ona konopie. Piękne, wystawione okazy począją, jakim przemianom podlegają włókna owej pokrzywy przy wyrobie z niej nici.

Rozmaicie wyszywane paciorkami różne części ubrania i hafty na skórze, robione włóczką, dowodzą przecież pewnego gustu tych pół-dzikich narodów, a niektóre nawet z tych wyrobów, szczególnie hafty wyobrażające kwiaty, są wcale udadne.

O pewnych, jakkolwiek niewielkich zdolnościach do rzeźbiarstwa świadczą wyroby z kamienia i drzewa Aleutów i Koryaków.—Są to małe figurki, wyobrażające ludzi, różne zwierzęta i niektóre przedmioty martwe, a wykonane z pewną nawet fantazją i humorem.

Niepodobna nam w szczyłkach ramach niniejszego sprawozdania zwrócić uwagi na wszystkie szczegóły życia mieszkańców Kamczatki;—szczegóły demonstrowane na wystawie odpowiednimi okazami. Nie możemy jednak choćby nie wspomnieć: o letnim namiocie używanym w Kamczatce do spania i ochraniającym od komarów, o sposobie noszenia dzieci przez kobiety na plecach i o odpowiednim do tego przyrządzie, wreszcie o monetach znalezionych w bliskości byłego miasta Bolszerecka. Monety te w liczbie 13 większych i 77 mniejszych, są tem ciekawsze, iż przypominają bardzo europejskie stare pieniądze z napisami łacińskimi i rosyjskimi.

Jako dodatek do wystawy etnograficznej ludów Kamczackich, Dr Dybowski przedstawił niektóre typy japońskie i chińskie, na fotografiach, jak również niektóre chińskie i japońskie wyroby używane w Kamczatce.

Z tych ostatnich szczególnie piękne, co do wyrobu, są szachy chińskie rzeźbione z kości słoniowej, wazony do kwiatów, kubki metaliczne chińskie używane w Kamczatce do napojów, latarnie papierowe służące do oświetlania ulic na Kamczatce, dalej tace i pudełka japońskie do herbaty, także stoliki bardzo piękne, zwierciadła magiczne i wiele innych rzeczy. Porównanie okazów chińskich i japońskich z okazami pochodzącymi z Kamczatki, wykazuje ogromną różnicę w stopniu cywilizacji tych ludów. Chińczycy i japończycy jakkolwiek odrębną od europejskiej posiadają cywilizację, to jednak jest ona znacznie wyższą od innych ludów azjatyckich, a sztuka w pewnych ich wyrobach wcale nie ustępuje europejskiej.

Dr Dybowski powracając do Europy drogą morską przez Singapur, po drodze tej zbierał również co tylko mógł, korzystając z każdej nadarżającej się sposobności. Z okazów w ten sposób zgromadzonych, podziwiać można na wystawie piękny kalamarz, wyrobiony z drzewa hebanowego na wyspie Ceylon, oraz kilka fotografii miejscowości i typów.

Dr. F. K.

## Z listów do „Roli“.

Od jednego z lekarzy prowincjonalnych otrzymaliśmy list, któremu chętnie dajemy miejsce w „Roli“.

Pozwólcie mi, pisze sz. korespondent, powiedzieć słów kilka o pewnej kategorii spekulantów-żydków, jaką stanowią *felczerzy matomiasteczkwowi*. — Jest to plaga, na podobienstwo chorób epidemicznych, wyniszczająca zdrowie biednych warstw ludności, a jako taka zasługuje ona na baczną i szczególną uwagę opinii publicznej. A więc najpierw ząd się biorą te indywidua spekulujące już nie na kieszeni tylko, lecz i na zdrowiu ludzkim? Otóż, są to zazwyczaj osobistości, nie posiadające ani jakiegokolwiek przygotowania, ani najelementarniejszych chociażby wiadomości felcerskich; pozolenie zaś praktykowania uzyskują oni dzięki jedynie plemiennemu sprytowi, zdolnemu wszystko obejść lub podojść.

W Warszawie istnieje szkoła felcerska, i ta istotnie wypuszcza w świat felczerów, ludzi w ogólności dość rozwiniętych, którzy tu, na prowincyi, mogliby ludności biedniejszej i mniej oświeconej nieść prawdziwy pożytek i uczciwą pomoc.

Chłop nasz z rozmaitych względów, a przedewszystkiem w skutek braku oświaty, nie przywykł jeszcze zwracać się o radę do lekarza. Natomiast prawie zawsze udaje się on do felczerów, którzy w oczach prostodusznego wieśniaka mają ten nieoceniony (!) przymiot, iż taki np. felczer-żydek robi to wszystko czego żąda sam chory, a że żąda on najczęściej puszczenia krwi, więc też na tem, indywidua o jakich mówię, robią interesa najlepsze. W tych warunkach felczer sumienny i znający dobrze swój zawód, mógłby się stać dobrodziejem prawdziwym ludności biednej, już to przez udzielanie jej pomocy, już też przez odsyłanie chorych w rzach ważniejszych, wprost do lekarza.

Lecz ukończenie szkoły felcerskiej i przygotowanie się specjalne wymaga pracy i czasu, a panowie żydzi tego przecież nie lubią. Więc jak wspominałem, mamy tutaj felczerów bez żadnego przygotowania, odgrywających jednak w obec prostaczków rolę bardzo nawet *uczonych* (!) doktorów medycyny, chirurgów, akuszerów i t. p. Każdy z tych procederzystów-żydków, przez puszczenie krwi, stawianie baniek i pijawek, wytacza, rzec można, rzeki onej krwi chłopskiej, przynosząc ludności niezmierną, niepowetowaną szkodę. Taki felczer-żyd nietylko nie dopuści nigdy chorego biedaka do lekarza, ale owszem potrafi go zawsze zniewolić do nabycia za grosz zapracowany mikstury, jaką *sam przyrządza* i sprzedaje, wyprawiając dziesiątki, setki ofiar na tamten świat.

Wprawdzie, jeżeli się gdzieś znajdzie felczer porządniejszy, chrześcianiin zwłaszcza, to po pewnym czasie nawet ten lud nieoświecony garnie się do niego, opuszczając niecnych szarlatanów; lecz czyż oni, wszędzie i zawsze solidarni, nie mają dość sposobów na zdławienie takiego konkurenta? Jak zwykle tak i tutaj nie przebiegają w środkach, a oszczerstwo, plotki, potwarz, są w tym razie jednym z najczęściej używanych sposobów.

Pisma podawały niedawno oburzający fakt otrucia morfiiną ubogiej kobiety przez leczącego ją niby felczera starozakonnego. Fakt ten miał miejsce w Warszawie; ale ileż to takich faktów powtarza się codziennie tu na prowincyi, gdzie grunt dla podobnej praktyki felcerskiej jest stokrót więcej sprzyjający!

Wiadomo, iż żydom nie jest wolno utrzymywać aptek; otóż jakże gorąco pragnąć należy, aby i pokrewna temu rozporządzeniu, kwestya felczerów-żydów— jacy prawie wyłącznie zajmują te miejsca po miasteczkach, została bliżej rozważoną! Nie wątpię też, że gdyby prasa zechciała ją podnieść i nadać jej to znaczenie jakie ona ma niezawodnie, to kto wie czy głos taki nie doszedłby i do sfer decydujących, a ile na tem, na ograniczeniu słowem tej zabójczej praktyki felcerskiej, zyskałoby zdrowie ludu naszego, ten tylko pojmie, kto na to co się dzieje, własnymi oczyma patrzeć jest zmuszony.

Dr. J. Ja....

Z okolic Zambrowa. Zambrów, niegdyś zamożne miasteczko, przy schyłku zeszłego stulecia, zaledwie jedną tylko miało w sobie rodzinę izraelską. Dziś — jakże to dziś jest inne! W tym samym Zambrowie ludność żydowska przewyższa już katolicką w czwórnasób; a jest nadzieja że płodne to plemię rozmnoży się jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy żydzi mają tutaj... tak łatwy sposób wygodnego bytu! Chce mówić o istniejącej tu u nas licznej i dobrze uorganizowanej spólee

izraelskiej, zajmującej się specjalnie kradzieżą koni. Niktby może nie zechciał wierzyć, a jednak jest tak rzeczywiście, iż spółka ta, będąca już obecnie postrachem okolicy tutejszej, ma swój statut i swoje jakby prawa, przechodzące przecież surowością nawet osławione prawo Drakońskie.

Oto bowiem niektóre paragrafy regulaminu, tej szczególnej spółki:

1) Kto nie da żydkom na kolendę (!) ćwiartki pszenicy, żyta, lub innego zboża, dobrej wiązki siana i furki słomy, a ma dobre konie, temu będą one skradzione.

2) Kto nie przyjmie na przechowanie skradzionych rzeczy, ten może uleść podpaleniu.

3) A kto, dalej jeszcze poważyłby się posunąć swoją śmiałość i wydałby władzom żydka złodzieja, albo świadczył przeciwko niemu, ten zostanie straconym przez zabicie pałkami albo otrucie. Gdybym chciał opisywać wszystkie fakta dowodzące że to, co w tej chwili mówię jest prawdą, zabrakłoby mi czasu i papieru nawet.

Nie mogę przecież powstrzymać się od zakomunikowania wam faktu, który więcej chyba przemówi niż wszelkie komentarze.

Była tu u nas sprawa o kradzież koni, w której jako świadkowie figurowali: S. i S. Ch. — S. przejął skradzione konie a S. Ch. zniewolony pogrozkami złodziei do pośrednictwa pomiędzy nimi a owym S., w celu wydania koni za dobrą zapłatą, poznał wszystkich *interesowanych* w tej sprawie i jako taki stał się głównym świadkiem.

Z początku, przy pomocy byłego wójta gminy, panowie izraelici używali różnych sposobów by onego świadka nie dopuścić do zeznań w sądzie, a przynajmniej nakłonić go do zeznań fałszywych. Gdy jednakże S. Ch. będąc w gruncie człowiekiem uczciwym, mimo najsroższych pogroźek, postanowił zeznać wszystko jak było, wówczas *przezacni* synowie Izraela widząc grożące im niebezpieczeństwo, zrobili walną naradę, na której postanowiono ostatecznie pozbyć się nie milego świadka. Jakoż nieszczęśliwy S. Ch. w dniu 30 Grudnia r. z., dostał pigułkę arszeniku i na drugi dzień w strasznych boleściach rozstał się z tym światem. Tak jest sam fakt, komentarze — sądzę — zbyteczne. Dodam tylko, iż śledztwo w tej sprawie prowadzi się energicznie a władze są już na tropie wykrycia szczegółów tej straszliwej zbrodni.

Daj to Boże iżby wszystko wyszło na jaw corychlej, i zbójcy zostali ukarani według sprawiedliwości, gdyż doprawdy niewesołe jest życie pod ciągłym strachem takiej spółki panów... jak ich nazywają " pewne pisma warszawskie, mojeszowych polaków!

*Stały prenumerator.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

### KRAJOWA.

**Spółka rolnicza** ziemian płockich, mimo alarmu pism judofilskich i w ogóle żydowskich, przychodzi ostatecznie do skutku. Organ miejscowy donosi, iż w dniu 2 Marca r. b. spisana została w kancelaryi p. Zygmunta Łempickiego, punktacja przedugodna. I my razem z „Korespondentem Płockim“ nie wątpimy iż punktację tę podpiszą wszyscy, ale to *wszyscy* obywatele którym dobro ogółu nie jest obojętnem. Rozwój zaś spółki puktuskiej i korzyści jakie ona już w pierwszym roku swym spółnikom przynosi, powinnyby być najskuteczniejszą, jak w tym razie, zachętą.

**I jeszcze spółka ziemian.** Obywatele powiatu rypińskiego, jak donosi „Wiek“, odbyli w dniu 9 b. m., za pozwoleniem władzy naradę, w kwestyi założenia w okolicy tamtejszej nowej cukrowni. Za najodpowiedniejszy punkt dla zbudowania fabryki, oznaczono miejscowość Ostrowite.

**Z pola kredytu.** Mający założyć się w Petersburgu przez kapitalistów francuzkich bank rosyjski, celem popierania rolnictwa, przemysłu i handlu, zamierza otworzyć filię w Warszawie.

**W ministeryum finansów** powstał podobno projekt wydawania zezwoleń na zawiązywanie towarzystw akcyjnych, któreby posiadały akcje, nie przewyższające 10 rubli.

**Portret Kościuszki.** W zakładzie litograficznym Plewińskiego i S-ki (dawniej B. Bukaty i S-ka) w Warszawie wykonanym został nader starannie podług obrazu znanego artysty-malarza T. Maleszewskiego, portret Tadeusza Kościuszki. Podobizna portretu była wzięta ze współczesnej miniatury znajdującej się obecnie w zbiorach Leonarda Chodźki. Na kamieniu rysował pan

Wł. Wolkiewicz. Przystępna cena (rs. 2) ułatwia nawet mniej za-  
możnym nabycie tego pięknego, artystycznie wykonanego, portretu.

**Z prasy.** „Wiek“ rozpoczął druk obszernej pracy znanego literata Teodora Jeske-Choińskiego p. t. „Żydzi na tulactwie“. O gruntownem tem studyum po jego ukończeniu pomówimy obszerniej. Tymczasem radzilibyśmy szczerze wszelakim judofilom... czytać je uważnie.

Judofilskie „Słowo“ znów napadło na *Rolę*. Tym razem poczekamy cierpliwie, obiecując sobie we właściwym czasie pomówić spokojnie i szczegółowo już z *samymi panami* tego komicznego organu któremu nawet handel prenumeratami cichaczem nabytym od zgasłego „Echa“, — nie jakoś nie pomógł. Nie pomogą mu też i napaści *osobiste* w „półśłówkach“ — a że osmieszają jego właścicieli za to *rezyć* możemy.

**Z teatru i muzyki.** Komedję Kazimierza Zalewskiego: „Górą nasi“ przedstawiono w dniu 11 b. m. na scenie lwowskiej z równie wielkiem powodzeniem jakie sztukę tę spotkało już w Krakowie.

Wielki koncert urządzony przez hr. Gustawa Platera na rzecz kasy wkładowo-zaliczkowej artystów sceny warszawskiej odbędzie się w dniu 9 marca r. b.

**Pałac Lubartowski** starą siedzibę Sanguszków, nabył przy licytacji właściciel kilku majątków ziemskich w lubelskiem, znany hodowca koni wyścigowych p. *Ludwik Grabowski*. Dobrze, iż miejscowość ta nie dostała się przecież w ręce *geszefterów*.

**Projekt sztucznej hodowli kurcząt** wywołał powszechne zajęcie w naszym kraju. Bardzo wielu właścicieli podmiejskich wchodzi w umowę z p. Tytusem Płotnickim, inicjatorem projektu, o urządzenie sztucznych wylęgników i kwok, oraz o prowadzenie całego zakładu. Z drugiej znowu strony, powstaje w Warszawie spółka hodowli kurcząt, na wzór spółki rybackiej. Kapitał akcyjny nowego przedsiębiorstwa wynosić ma 50,000 rs.

**W tatarsalu warszawskim** odbyła się pierwsza licytacja koni. Na sprzedaż wystawiono 51 koni za ogólną sumę 17,489 rubli. Nabywców, głównie z pośród obywateli wiejskich, znalazło 31 koni, za które zapłacono ogółem 11,251 rubli. Cena najmniejsza konia wynosiła 143, a najwyższa 1,001 rubli. Była to, dodajmy, pierwsza licytacja bez... żydów.

### ZAGRANICZNA.

**Ze Lwowa,** donoszą iż w zachodnich okęgach Galicyi uważano w ostatnich czasach *nadzwyczajny* wzrost wychodźstwa włościan do Ameryki. Tak więc Galicya pozbywa się szybko najważniejszej podstawy swego bytu: ludu. A wszystko to, się dzieje dzięki *niewinnie* potępianej mojeszowej braci, której jak za pewnia warszawski „Izraelita“, Galicya „zawdzięcza swój dobrobyt“ (!). Czyby też pan Sewer krytykujący tak bezwzględnie „wydawnictwa antisemickie“ w „Tygodniku Powszechnym“ p. *Orgelbranda*, — nie poradził raczej, jako mieszkaniec błędnej tej Galicyi, co tam trzeba „czynić“ by istnieć?

**Pomnik Mickiewicza.** Dnia 28-go b. m. odbędzie się w Krakowie walne zgromadzenie członków komitetu pomnika Mickiewicza. Na porządku dziennym zebrania zamieszczono: sprawozdanie z zebranych dotychczas funduszków i zatwierdzenie warunków stałego konkursu do projektu na pomnik.

**Smutne odwołanie.** Donoszono niedawno, iż wielkie dobra barona Jakóba Romaszkana, Horodenkę w Galicyi, szacowane na 1,700,000 złr., nabywa książę Adam Sapieha. Obecnie czytamy w pismach zagranicznych: „że to niestety! nie jest prawdą, gdyż Horodenkę nabędą żydzi, propinatorowie barona Romaszkana, gorliwego obrońcy propinacyi.“

**Z Berlina.** Adres kondolenyjny izby reprezentantów w Waszyngtonie (parlamentu Stanów Zjednoczonych), wystosowany do parlamentu niemieckiego z powodu śmierci znanego wodza żydów i propagatora kulturkampfu Laskera, został przez księcia Bismarka *zwróconym* do Waszyngtonu. I cóż na to żydowskie pisma warszawskie? Czy nie natrą przypadkiem ostro na niewdzięcznego Bismarka?

**Z Rzymu.** Podczas łowów dworskich w d. 16 b. m. padł strzał skrytobójczy wymierzony przeciw królowi. Jeden z przestępców został ranny i ujęty, inni umknąć zdołali.

### SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

21 Lutego 1884 r.

Nadchodząca wiosna wywołała nadzieję zwiększenia się transportów zbożowych z Cesarstwa, jak również i z naszego kraju. — W skutek tego spekulanci berlińscy przewidując większe zapotrzebowanie rubli w niedalekiej przyszłości, więcej się nieco zajęli walutą rosyjską, co kursa jej w Berlinie podniosło.

W obecnej chwili kurs rubli wynosi 198.50 m. za 100 rubli, czyli za 100 marek 50.37 1/2 rs. bez kosztów transakcyjnych.

Ruch papierami wzmagają się w ostatnich czasach, na skutek pogłosek iż rozmaite fundusze w Cesarstwie, trzymane dotąd w gotówce, mają być lokowane w papierach.

Listy likwidacyjne ciągle 88.30 za 1000 i 500 rublowe, 88.20 za mniejsze w żądaniu.

Pożyczka wschodnia, najwięcej ze wszystkich papierów poszukiwana, doszła w kursie do 93.50 w placeniu, bez różnicy emisji.

Listy zastawne ziemskie dotąd jeszcze w małym ożywieniu. Za A sery I 100.30 żądają — za następne serye i mniejsze odcinki taniej, aż do 99.85 za małe sery IV.

Dosyć dobrze trzymają się listy miejskie, 96, 94, 93.20 i 92.60 wedle seryi, w żądaniu. Łódzkie 86.25, 85.25, 83.50.

Rynek *cukrowy* po obniżce w Perersburgu o 40 k. i w Moskwie o 30 kop. na pudzie, trudne przechodzi chwile.

U nas płacono za rafinadę od 3.90 za gorsze marki i wyżej 3.95, 3.97 1/2, 4 rs. aż do 4.5 za pierwszorządne przy ruchu stosunkowo dosyć znacznym.

W tygodniu minionym więcej nieco dokonano transakcyjnych *welut* niż w poprzednich.

W ogóle jednak ruch mały. Ceny niezmiennione.

Handel *zbożem* na rynkach zagranicznych nie uległ zmianom znacznym.

W New-Yorku cena podniosła się cokolwiek, z obawy iż panujące tamże deszcze mogą zrzucić znaczne szkody. Wpływ ten jednak nie oddziałał na rynki europejskie, na których w ogóle przy licznych i obfitych zapasach — chęć kupna jest mała.

Na naszych rynkach ruch mały przy braku chęci kupna.

Płać na placu Witkowskiego za korzec pszenicy dobrej średniej 9 rs. — i tę cenę za normalną uważać należy. Gatunki niższe płać się taniej, od 7.85 za średnią. Poślednich wcale nie kupują. Wyborowe ziarno — drożeje. Żyto 5 60—6.10 i 6.15, stosownie do gatunku.

Owies dostawiany po 100—200 korcy dziennie, sprzedaje się w drobnych partyjkach po 3, 3.15 i 3.30 za korzec.

Siana i słomy dowozy znaczne. Pud siana 40 — 50, słomy 28—30 kop.

Handel *mąką* niewielkim ulega zmianom.

Płać w ciągu tygodnia za mąkę pszenną w workach 5 pudowych: Nr 0000 14 rs.—14.25, 000 12.75—14 rs., 00 11.50—13, 0 10.75—12.25.

Żytnia od 5 rs.

Handel *bydłem* normalny.

Dowieziono bydła stepowego 1821, krajowego 243 sztuk, cieląt 1543, wieprzów 2500.

Ceny za woły stepowe 80 — 140 rs., krajowe do 80 rs. Cielęta 5—7.50, wieprze 12—50 rs.

*Skóry* nie są zbyt poszukiwane i handel niemi idzie dość leniwie.

Za skóry w sztukach na rynku prazkim od 8 rs. do 17.50 płać jeszcze.

W handlu na wagę również widnieje obniżka, szczególnie przy skórkach lekkich z wołów krajowych.

Skórki cielęce bez pokupu.

Artykuły żywności bez zmiany

### Odpowiedzi Redakcyi.

*P. Tuńskiemu.* List otrzymaliśmy i zrobimy użytek.

*Pani Anieli M.* Wątpimy czy będziemy mogli pomieścić w tej formie. W każdym jednak razie prosimy o cierpliwość. Za życzliwość serdeczne ślemy dzięki.

*P. Makowiec, w Proskir.* Numer 3-ci wysłaliśmy powtórnie. Nie nam się nie należy. Za życzliwe słowa Bóg zapłać.

*P. Al. Nalecz Ohańsk gub. Perm.* Kompletu „Roli“ z roku zeszłego przestać nie możemy, gdyż 1-szy kwartał wyczerpany zupełnie. O przyobiecane wiadomości najprzejmiej sz pana prosimy; co do powiastki jednak nie naprzód nie możemy powiedzieć.

*P. Zyg. Płocznin w Lub.* „Rola“ opłać. Za pomyłkę przepraszamy sz. pana. Zasłała ona w skutek tego zapewne, że w kwartale poprzednim „Rola“ wysyłaną była na ręce p. Br. zawiadowcy stacyi.

*P. Witoldowi Hanic, Uman.* Półroczna prenumerata „Roli“ wynosi tylko rs. 4; rubel przeto pozostać do dyspozycji sz. pana.

*P. Józefowi Sos, w Ber.* O Zakomunikowanym nam łaskawie fakcie mogliśmy pisać w tej formie, dopiero po wyprowadzeniu ponownego śledztwa i wyroku sądowym. Teraz niepodobna. O inne wiadomości najprzejmiej prosimy.

*P. Br. Irz.* Dziękujemy za pamięć i życzliwość będzie w przyszłym Numerze.

*Przeciwnikowi.* Mylisz się pan dobrodziej. Choćby nawet „Biesiada Literacka“ nie odzywała się nigdy lub też odzywała się niekorzystnie o „Roli“ nie omieszkalibyśmy jej zalecać, gdyż jest piśmie uczciwym i dobrej wiary. Do takich „przeciwników“ nie powlemy nigdy: „ty żydziej.“

## OGŁOSZENIA.

### Najtańsze pismo codzienne polskie „Dziennik dla Wszystkich.“

Program obejmuje: 1. Wiadomości kościelne, dworskie i urzędowe 2. Artykuły wstępne we wszelkiego rodzaju sprawach społecznych. 3. Kronikę warszawską i kronikę wiadomości krajowych, listy i korespondencje krajowe. 4. Wszelkiego rodzaju artykuły i korespondencje z Cesarstwa. 5. Wiadomości i sprawozdania polityczne. 6. Sprawozdania sądowe. 7. Krytykę literacką i artystyczną. 8. Telegramy 9. Wszelkiego rodzaju i wszelkiej treści przeglądy, artykuły, korespondencje i sprawozdania zagraniczne. 10. Humorystykę. 11. Logogryfy, szarady, rebusy, zagadnienia, szachy, afisze teatralne, koncertowe i inne. 12. Wszelkiego rodzaju wiadomości handlowe i przemysłowe, terminu losowań publicznych, kursa giełdy krajowej i zagranicznej, ceny zboża, okowity, tabele wygranych w loteryi klasycznej warszawskiej i t. p. 13. Felieton treści belletrystycznej — powieści, nowelle, humoreski, opowiadania, szkice, pamiętniki, podróże, poezye i t. p. 14. Wszelkiego rodzaju ogłoszenia i reklamy.

#### Przedpłata wynosi:

w Warszawie:		na Prowincyi i w Cesarstwie:	
Rocznie . . . . .	rs. 3 k. 60	Rocznie . . . . .	rs. 6 k. —
Półrocznie . . . . .	„ 1 „ 30	Półrocznie . . . . .	„ 3 „ —
Kwartalnie . . . . .	„ — „ 90.	Kwartalnie . . . . .	„ 1 „ —
Miesięcznie . . . . .	„ — „ 30.		

Za odnośnienie do domu dopłaca się miesięcznie pięć kopiejek.

w czem mieści się opłata za opakowanie i przesyłkę pocztową.

Prenumerować można w Redakcyi, we wszystkich Kioskach, Księgarniach i Kantorach pism periodycznych. — z prowincyi najlepiej nadsyłać opłatę bezpośrednio pod adresem:

Redakcyi „Dziennika dla Wszystkich“ — w Warszawie, Mazowiecka 11.

Od dnia 1-go Stycznia drukujemy w „Dzienniku“ nadzwyczaj ciekawą powieść Bosgobey'a „**STAROŚĆ LECOQ'A**“.

Redaktor  
Henryk Perzyński

Wydawcy  
Piotr Noskowski.  
Józef Sliwowski

Wszedł z druku i jest do nabycia w księgarniach zeszyt III dzieła p. t.:

### 3—1 Najlepsza Metoda

do nauczenia się języka niemieckiego w 3 miesiącach bez nauczyciela przez P. Reussnera. Cena całego dzieła rs. 2 k. 60 (pocztą rs. 2 k. 90). Oddzielnie kurs niższy k. 60, kurs wyższy rs. 2.

Metoda angielska tegoż autora k. 75 (pocztą k. 85)  
Skład główny w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa.

57 Marszałkowska 57

### PRACOWNIA STROJÓW DAMSKICH „Daleszyńskich“

Utrzymując stale stosunki z Paryżem, daje wszelką gwarancję wykończenia tualet narówni z pierwszorzędnymi firmami zagranicznymi. 3—1

57 Marszałkowska 57

### FABRYKA WYROBÓW METALOWYCH I ODLEWÓW

T. GWIZDZIŃSKIEGO i Comp.

przy rogu ulic Nowego Świata i Książęcej Nr. 2.

posiada wielki zapas:

Kranów, Wentyli, Oliwiarek, Świstawek i t. p. 6—5

### Ważne Zawiadomienie.

Panowie Właściciele Ziemszy którzyby chcieli rozkolumnizować (rozparcelować) całe dobra lub pojedyncze folwarki — raczą się zgłaszać piśmiennie lub osobiście, po bliższe informacje do Zarządzającego I-em Biurem Pośtańców w Warszawie, Marszałkowska Nr. 48. 6—4

## Przewodnik Firm Handlowych i Przemysłowych.

### FABRYKI BILARDÓW.

Trotschel F. Czerniakowska N. 68, wprost Górnej—w domu własnym.

### FABRYKI POWOZÓW.

Stopczyk Jan. Fabryka powozów, Elektoralna Nr. 7c (794)

### FABRYKI SZUWAKSU I ATRAMENTU.

Gliński S. Szuwaks glicerynowy i atrament. Nowy Świat, 67.

### KAPELUSZE i CZAPKI.

Tuczyn Antoni. Magazyn kapeluszy i czapek. Podwal. 14.

### MAGAZYNY STROJÓW.

„Daleszyńskie”. Pracownia strojów damskich, Marszałkowska Nr. 57.

### MAGAZYNY MEBLI.

Dzięgielewski Józef. Magazyn mebli i tapicerski Ś-to Krzyżka Nr. 8.

Otwinowski T. Zakłady stolarskie, tapicerskie i dekoracyjne. Nowy-Świat Nr. 38.

### MASZYNY POMOCNICZE (dla fabryk i rzemiosł).

Gerlach et Comp. Srebrna N. 8.

### OBICIA PAPIEROWE.

Czarnecki J. i Syn. Obicia papierowe, ceraty, rolety, gzemisy do firanek. Nowy Świat, 76.

Rembierz A. Wielki wybór—najniższe ceny. Chmielna, 25

### OZDOBY KOŚCIELNE.

Szonert Karol. Fabryka ołtarzy i innych ozdób kościelnych, Chłodna Nr. 14.

### SZEWCY.

Hiszpański Stanisław. Szewc. Warszawa, Długa Nr. 35.

Zbrożek Józef (syn). Magazyn obuwia damskiego i dziecięcego. Przejazd Nr. 2.

### WYROBY METALOWE.

Bitschan Paweł. Fabr. wyr. brązowych, aparatów kościelnych, napisów metalowych, herbów i liter. Długa, 47.

K. M. Kaczanowski. Fabryka brązowniczo-tokarska i platerowanie. Miodowa Nr. 1.

### WYROBY ZŁOTE I SREBRNE.

Jakimowicz J. Fabryka wyrobów złotych i srebrnych, — wyroby gotowe. Senatorska 22.

Mankielewicz M., Wyroby złote, srebrne i brylantowe. Gmach Teatralny pod filarami.

### WYROBY ŚLUSARSKIE.

Puchalski J. — Fabryka slusarsko mechaniczna. Tłomackie Nr. 6. — Długa Nr. 51.

Kto chce się ubrać tanio i wykwiłtnie, niechaj się uda

do Magazynów

## S. BIAŁOCHUBKA

Ś-to Krzyżka Nr. 23

i Bielańska, Hotel Paryzki

gdzie przy wielkim wyborze materiałów i ubiorów gotowych, można mieć ubranie wykonane w przeciągu 24 godzin.

Produkując en gros, magazyny Białochubka są w stanie oddawać wyroby swe **najtaniej** jak o tem przekonać się można na miejscu.

Próby, Cenniki, oraz sposób wzięcia sobie miary, wysyłają się bezpłatnie. 52—22

**Kupcom rabat!**



# NOWO URZĄDZONY WIELKI TARG

na placu Grzybowskim, róg ulicy Bagno, Nr. 1  
(dom Ulrycha),

z d. 1 (13) listopada 1883 r. otwartym został dla

sprzedaży wszelkiego rodzaju wiktuałów, wszelkich  
produktów spożywczych i Ryb.

szczególnej zaś

## WSZELKIEGO GATUNKU MIĘSA.

Targ ten, mając znaczną ilość sklepów dobrze urządzonych i będąc położonym w najdogodniejszym punkcie miasta, przy **samej linii tramwayów**, przedstawia tę wielką dogodność dla publiczności, że wszelkie zapasy mogą być w jednym miejscu robione. Wejść do targu dwa: jedno od placu **Grzybowskiego**, drugie od ulicy **Bagno**.

Urządzenie TARGU odpowiada wszelkim najnowszym wymaganiom higieny i porządku. Targ ten ma chodniki asfaltowe, dobre oświetlenie, słowem wszystko zrobionem zostało dla wygody Publiczności.

**Treść numeru.** Spokojny obrachunek. — O jednej z przyczyn obdłużenia rolników, przez H. Wiercieńskiego (dok.). — Realizm francuzki i jego wyznawcy, p. T. Ch. (d.c.). — Galicyjski bank włościański, p. Teofila Merunowicza. — Listy z nad Newy, przez Zemajtysa. — Na posterunku. feljeton Kamiennego. — Wystawa etnograficzna Kameczatki i wysp Kemandorskich (Zbiory dra B. Dybowskiiego), przez dra F. K. — Z listów do „Roli”. — Kronika bieżąca krajowa i zagran. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Pułkownik, obrazek wiejski, przez Klemensa Junoszcę.